

... *Ewa wzywa 07...*



Zygmunt Zeydler Zborowski
DWIE LEWE NOGI



ISKRY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07.....

Zygmunt Zeydler Zborowski

DWIE LEWE NOGI

ISKRY - WARSZAWA -1976

Rozdział I

Nie wiadomo właściwie, dlaczego utarło się powiedzenie „pije jak szewc”. Przecież zdarzają się krawcy, fryzjerzy, kaletnicy, poeci, malarze, którzy chętnie, a nawet z przesadną ochotą zaglądają do kieliszka. Dlaczego więc właśnie szewc stał się symbolem nadużywania napojów alkoholowych? Tego chyba nikt nie potrafi wyjaśnić.

Euzebiusz Kopacz od wielu lat zelował ludziom buty, przyklejał obcasy, przyszywał paski u sandałów, ale mimo to nie zdradzał pociągu ani do czystej, ani do żytniówki, ani do śliwowicy, ani nawet do bimbru swojej roboty. Bardzo rzadko pijał piwo, a braki płynów w organizmie uzupełniał kefirem, słodkim mlekiem, herbatą lub lemoniadą. Tylko raz do roku, dziewiętnastego marca, wypijał dwa kieliszki wódki na imieninach swojego szwagra, Józefa. Nie pił ani na Boże Narodzenie, ani na Wielkanoc, ani na swoje własne imieniny, tylko na imieniny szwagra. Taki już był dziwak.

Reperowanie obuwia jest zajęciem niezbyt urozmaiconym i mało ruchliwym. Sprzyja więc nastrojom refleksyjnym. Monotonne uderzanie młotkiem o podeszwę lub obcas stwarza atmosferę filozoficznej zadumy i pozwala na spokojne rozmyślania, dotyczące problemów światopoglądowych oraz tajemnic natury ludzkiej. Nieraz Euzebiusz Kopacz usiłował określić charakter danego osobnika na podstawie wnikliwej analizy ściętych obcasów i zdartych zelówek. Czas mijał, lat przybywało, zadumy filozoficzne stawały się coraz dłuższe i coraz trudniej było nadążyć z robotą. Klienci zaczęli narzekać. Trzeba było pomyśleć o zaktywizowaniu warsztatu. Niestety jedyny syn Kazimierz nie chciał przejąć ojcowskiego kopyta i wstąpił do milicji. Dużo było wtedy rodzinnych scysji i kwasów z tego powodu.

— Komu przekażę swoją firmę, swój warsztat, swoją klientelę? — lamentował ojciec. — Zastanów się, Kaziu. Na co ci ta milicja?

— Nie męcz dziecka — broniła syna matka, kobieta energiczna, pijąca alkohol nie tylko na świętego Józefa. — Nie każdy ma ochotę całe życie łątać cudze kapcie. Człowiek powinien robić to, co lubi.

— Ale ludzie nie mogą chodzić w dziurawych butach. Ktoś musi zajmować się szewstwem — upierał się Kopacz. — Miałem nadzieję, że mój jedyny syn przejmie po mnie warsztat, że go nauczę, wykształcę, wykieruję na uczciwego,

solidnego rzemieślnika. Coraz mniej dobrych szewców w Warszawie. Bój się Boga, Kaziu, nie idź na milicjanta.

— Nie męcz dziecka — powtarzała stanowczo matka. — Niech robi, co chce. Milicjant to nie szewc. Może Kazio kiedyś ministrem zostanie.

Nie pomogły prośby, perswazje, a nawet groźby starego. Dziecko, wspierane przez matkę, wstąpiło do milicji.

Początkowo był prostym szeregowcem, ale jego pilność, dobre chęci, solidność i wrodzona inteligencja zostały należycie docenione przez przełożonych i awansował niebawem na sierżanta.

— A widzisz, a widzisz — mówiła matka, patrząc triumfalnie na ojca. — Kazio już jest sierżantem. Zobaczysz, że będą z niego ludzie.

Stary Kopacz nie odzywał się, wzdychał tylko ciężko i rozmyślał nad tym, jak sobie zorganizować pracę w warsztacie. Potrzebował pomocnika, a kiedy zawiodły go nadzieje na pomoc syna, postanowił poszukać czeladnika. Żona entuzjastycznie poparła ten pomysł.

— Ale ma się rozumieć. Weź jakiego chłopaka na naukę. Wyreżczy cię. Nie będziesz musiał sam tak tyrać na stare lata.

— Jeszczem nie taki stary — bronił się Kopacz.

— Ale młody także nie jesteś. Już dawno to zauważyłam. Trzeba się rozejrzeć za chłopakiem.

Okazało się jednak, że to nie taka prosta sprawa. Jakoś nie było chętnych do szewskiego rzemiosła. Starannie wykaligrafowane ogłoszenie na kawałku tektury zaczęło żółknąć, a kandydat się nie pojawiał. Dali nawet ogłoszenie do „Życia Warszawy”. Także nic z tego.

Któregoś wieczora podczas kolacji Kopaczowa powiedziała:

— A może byś pogadał z Fabiszewskimi? Może by ci dali Romka?

— Tego idiotę? — skrzywił się Euzebiusz.

— Co z tego, że idiota? Do wbijania gwoździ w podeszwy i klejenia obcasów nie musi być profesor uniwersytetu.

— Nie szanujesz, Wikciu, mojej pracy — zmartwił się Kopacz. — A przecież z tego kopyta tyle lat żyjesz i to całkiem nieźle. Syna żeśmy wychowali. Oj, Wikciu, Wikciu...

— Nie marudź — odburknęła niecierpliwie Kopaczowa. — Denerwujesz mnie tylko, ręce mi się zaczynają trząść i nie mogę tej nalewki zlać z gąsiora. Jak nie ma nikogo innego, to bierz Romka. Może go przecie przyuczysz.

Więc Euzebiusz porozmawiał z Fabiszewskimi i wziął Romka do warsztatu.

Chłopak był chętny, ale współpraca nie od razu ułożyła się pomyślnie. Nowy czeladnik odznaczał się dużą siłą fizyczną, natomiast jego intelekt w pewnym momencie przestał się rozwijać i nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek rozwój ten miał nastąpić. Lubił muzykę młodzieżową, za to czytanie sprawiało mu ogromne trudności, a o pisaniu w ogóle nie było mowy. Miał pogodny usposobienie i chętnie się uśmiechał, wpadając w prawdziwy zachwyt, jeżeli ktoś go poczęstował cukierkami.

Do pracy w warsztacie zabrał się ochoczo i chcąc przypodobać się majstrowi walił młotkiem z taką siłą, że zniszczył trzy pary butów, zanim Kopacz wrócił z obiadu. Doszło oczywiście do straszliwej awantury, którą z trudem załagodziła pani Wiktoria, hamująca męża i nie dopuszczająca do zbyt drastycznych posunięć. Romek płakał rzewnie, mówił, że chciał jak najlepiej i obiecywał poprawę.

Powoli jakoś się to zaczynało układać. Kopacz uzbroił się w cierpliwość i poświęcił się przez jakiś czas działalności pedagogicznej, która dała pewne, choć niezbyt błyskotliwe, rezultaty.

Podczas porannej toalety Euzebiusz miał zwyczaj zdzierać kartkę z kalendarza. Owego pamiętnego dnia powiedział do żony:

— Wiesz, Wikciu, że dzisiaj piątek i trzynastego.

Wzruszyła ramionami.

— Zrobiłeś się przesądny?

— Nie, skądże. Tak sobie powiedziałem. Początkowo nic nie wskazywało na to, żeby feralna liczba czerwcowego piątku miała mieć jakiś wpływ na mistrza Kopacza i jego rodzinę. Wszystko układało się jak najlepiej. Wątroba pracowała spokojnie, bez żadnych niepożądanych wybryków, bóle reumatyczne utrzymywały się w granicach normy, nawet Romek tego dnia wykazywał niezwykłą bystrość umysłu i zupełnie przyzwoicie przybił gumowe fleki do damskich pantofli.

Kopacz poklepał chłopaka po rozczochranej głowie,

— Dobrze się sprawujesz. Jestem z ciebie zadowolony. Da Bóg, zostaniesz może kiedyś majstrem. Tylko tak dalej.

Jeżeli chodzi o południowy posiłek, to najpierw szedł na obiad majster, a dopiero po jego powrocie wyruszał do majstrowej czeladnik. Pani Wiktoria szykowała swemu podopiecznemu potężne porcje, wiedząc, że możliwości konsumpcyjne tego chłopca były odwrotnie proporcjonalne do rozwoju umysłowego, a nie lubiła, żeby ktoś wstawał głodny od jej stołu.

W ten piątek Kopacz trochę później wrócił do warsztatu, ponieważ po golonce poczuł się dziwnie ociężały i poobiednia sješta przedłużyła się nadmiernie.

— No i co tam, Romciu? — spytał, sadwiąc się na swoim taborecie. — Byli jacyś klienci?

— Była — padła lakoniczna odpowiedź.

— Jakaś pani?

— Kobieta.

— Przyniosła buty?

— Przyniosła. Męskie.

— Pokaż.

Romek sięgnął za siebie i spod granatowej ścierki wyjął dwa brązowe, sportowe buty z niską cholewką.

Kopacz spojrział i zdumiał się. Buty nie miały w ogóle podeszew, a do tego oba były z lewej nogi.

— Co, u diabła?

— A bo co? — spytał Romek, który czekał niecierpliwie, żeby mu majster pozwolił iść na obiad.

— Przecież widzisz, że oba kamaszki z lewej nogi!

— No to co?

— No to to , że normalny człowiek ma jedną nogę prawą, a jedną lewą!

— Eee — skrzywił się lekceważąco chłopak, który najwidoczniej nie przywiązywał wagi do takich drobiazgów. — Mogę iść na obiad?

— Zaczekaj — zniercierpliwił się Kopacz. — Jeszcze zdążysz opchnąć tę golonkę.

— Golonka! — wykrzyknął podekscytowany Romek, a na jego okrągłej twarzy odmalował się wyraz niebiańskiej szczęśliwości.

— Nowe buty — mrucał Kopacz. — Zupełnie nowe buty. Kazała podzelać?

— Kazała przybić podeszwy.

— To podeszwy też przyniosła?

— A przyniosła.

— Dawaj.

Wyglądniący czeladnik znowu sięgnął pod granatową ścierkę i wyjął dwie grube, solidne podeszwy z podwyższonymi obcasami. Były prawie nie używane.

— Co, u diabła? — powtórzył Kopacz. — Zapisaleś jej nazwisko?

Chłopak energicznie potrząsnął głową.

— Ja tam nie do pisania.

— Powiedziała, gdzie mieszka?

— Nie.

— A kiedy ma przyjść po te buty?

— Jutro. Mówiła, że jej pilno.

— Jak ona wyglądała?

— Zwyczajnie..

— Młoda? Stara?

— A bo ja to wiem.

— Idiota. Chyba potrafisz odróżnić starą babę od młodej dziewczyny — zdenewrował się Kopacz.

— To mogę iść na obiad, panie majster?

— Idź, idź. Udław się tą golonką. Po wyjściu chłopaka Kopacz jeszcze raz uważnie obejrzał dziwne buty. Nie uległo wątpliwości, że ktoś naumyślnie oderwał obydwie podeszwy. Komu mogło zależeć na tym, żeby zniszczyć zupełnie nowe buty? W jakim celu? Dlaczego? 1 do tego obydwa z lewej nogi.

— Dziwne, bardzo dziwne — mrucał Kopacz. — Numer dwadzieścia dziewięć. Spora noga. A co się stało z prawymi butami? Ciekawe.

Kiedy Romek wrócił z obiadu z twarzą wyrażającą szczęśliwą sytość, Kopacz znowu zaczął go wypytywać. Nic to jednak nie dało. Chłopak powtarzał w kółko „A bo co?” i nie potrafił udzielić żadnych informacji, dotyczących klientki, która

przyniosła dwa lewe buty. Wreszcie Kopacz zrezygnował z tych prób i zabrał się do roboty, nie przestając myśleć o dziwnym, zdarzeniu.

Przed wieczorem podeszwy do dwóch lewych butów zostały solidnie przybite. Kopacz starannie zamknął warsztat, życzył swojemu czeladnikowi dobrej nocy, wrócił do domu i opowiedział o wszystkim żonie.

Kopaczowa nie zdradzała jednak większego zainteresowania tą sprawą.

— Masz się czym przejmować? No to co z tego, że lewe buty? Teraz takie dziwolągi chodzą po świecie, że może się trafić facet, który ma dwie lewe nogi. A zresztą przecież może mieć dwie pary jednakowych butów. Lubi laki kolor i taki fason.

— Ale dlaczego oderwane podeszwy? — nie dawał za wygraną Kopacz.

Wzruszyła ramionami.

— A skądże ja mogę wiedzieć? Może jakiś dziwak, a może ktoś mu chciał zrobić na złość. Nie zawracaj sobie głowy głupstwami. Aha, zapomniałam ci powiedzieć, że Kazio będzie dzisiaj u nas na kolacji.

— To świetnie — ucieszył się Kopacz. — Ciekawe, co Kazio na to powie.

Przecież służy w milicji.

— Daj chłopakowi spokój. O czymś weselszym porozmawiajcie, a nie o lewych nogach. Czasem jak sobie coś do głowy wbijesz, to będziesz tak gadał nie wiedzieć o czym.

Ale Kopacz nie miał zamiaru rezygnować z sensacyjnej opowieści i jak tylko usiedli do stołu, zaczął mówić o lewych butach.

Kazio zainteresował się sprawą.

— Ciekawe, bardzo ciekawe. I ojciec nie widział tej kobiety?

— Przecież ci wyraźnie tłumaczę, że wtedy był w warsztacie tylko Romek. A to idiota i tyle. Nawet nie wie, czy stara, czy młoda. A ty co o tym myślisz?

Kazio pokręcił głową.

— Czort wie. Sprawa wygląda mi trochę podejrzanie. Może jaki przemyt?

— Szmugiel? — zdziwił się stary.

— A co ojciec myśli. Wszystko teraz jest możliwe. Może facet w podeszwach przemycał narkotyki albo brylanty. Takie rzeczy się zdarzają.

— Kaziu, zjedźże jeszcze trochę tej wątróbki — powiedziała prosząco

Kopaczowa. — Tyle się za nią wystąpiłam w kolejce.

— Już nie mogę, mam. Słowo honoru. Najadłem się,

— Eee, dla was to w ogóle nie warto się o nic starać. Podzióbie każdy jak wróbel i cała wątróbka ze stołu schodzi. Przecie cieleca. Dawniej to mężczyzna potrafił zjeść. Ile by się przed nim nie postawiło, zawsze było mało. Znałam kiedyś takiego strażaka...

— Szkoda, żeś za niego za mąż nie wyszła — mruknął Kopacz. — Więc powiadasz, Kaziu, że to mogą być szmuglerskie buty...

— A mogą.

— Ale chyba podeszwy byłyby jakieś podwójne, puste w środku. A ja nic takiego nie zauważyłem.

— Chciałbym obejrzeć te buty — powiedział po chwili namysłu Kazio. Wyobraził sobie nagle, że otworzyłaby się przed nim wspaniała kariera, gdyby tak zupełnie przypadkowo wpadł na trop jakiejś poważniejszej afery przemytniczej.

— Możesz obejrzeć. Dlaczego nie? Wpadnij do mnie jutro rano do warsztatu.

— Kiedy ta babka ma przyjść odebrać...?

— Nie wiem. Z tym kretynem Romkiem nie sposób się dogadać. Nie przypuszczam, żeby tak przyleciała o świcie. Otwieram przed ósmą. Jak przyjdiesz o ósmej, to będzie akurat.

Ale Kazio nie przyszedł ani o ósmej, ani o dziewiątej. Z rana miał odprawę w komendzie, a potem zważyło się na niego tyle rozmaitych spraw, że zupełnie zapomniał o butach z lewej nogi i w ogóle się nie pokazał w ojcowskim warsztacie. Owej dziwnej klientki także Kopacz nie mógł się doczekać. Przyszła dopiero wieczorem, przed samym zamknięciem. Całą twarz miała zabandażowaną tak, że widać było tylko oczy, czubek nosa i wargi.

— Przyniosłam tu wczoraj buty do reperacji — powiedziała niskim, schrypniętym głosem. — Męskie. Miały być gotowe na dzisiaj. O, to te, te brązowe.

— Obydwa z lewej nogi — zauważył Kopacz.

— To pana nie obchodzi — ucięła krótko. — Gotowe?

— Ma się rozumieć, że gotowe. — Zawinął buty w gazetę i podał je zabandażowanej klientce. — Proszę... — Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale napotkał jej zimne spojrzenie i dał spokój.

— Ile płacę? — spytała.

— Osiemdziesiąt złotych. Robota była terminowa.

Zapłaciła i wyszła.

Kopacz pochylił się do Romka.

— Idź za tą babą. Dowiedz się, gdzie mieszka i jak się nazywa. Ruszaj się!

Chłopak poderwał się ze stołka i wybiegł na ulicę.

Staremu już nie szła robota. Wstał, rozprostował zgarbione plecy i drobnymi kroczkami zaczął dreptać po warsztacie. Napił się wody, zapalił papierosa i niecierpliwie czekał na powrót swego czeladnika.

Taka obandażowana zgaga nie może chyba daleko mieszkać — myślał, zaciągając się dymem. — Pilną robotę daje się do najbliższego szewca. Romek powinien zaraz wrócić.

Ale czas mijał, a Romek nie wracał. Zbliżała się już godzina siódma, trzeba było zamknąć warsztat, a chłopaka ani śladu.

Żeby mu się tylko co nie stało — zaniepokoił się nagle Kopacz. — Może to faktycznie jakaś kryminalna afera? Tyle się teraz różnych rzeczy czyta w gazetach.

Minęła siódma. Kopacz zaczekał jeszcze dwadzieścia minut i wreszcie zamknął warsztat. Przyszło mu na myśl, że pewnie Romek daleko pojechał za tą kobietą i potem, sądząc, że już majstra nic zasiane, wrócił do rodziców.

Pani Wiktoria przyjęła męża wymówkami.

— Cóż tak późno? Gdzieżeś ty był? Kartofle mi całkiem zdębiały.

— Romka tu nie było?

— A dlaczegóż miał być? Cóż ty sobie wyobrażasz, że ja z takim kretynem...
Kopacz machnął ręką.

— Daj spokój, Wikciu. Co ci po głowie chodzi na stare lata?

— Nie takam jeszcze stara. Piętnaście lat jestem młodsza od ciebie. Żeś ty się zestarzał, to już ci się wydaje, że każdy. Siadaj, jedz to zsiadłe mleko.

Kopacz usiadł posłusznie i przysunął sobie miskę z kartoflami.

— Myślałem, że może tutaj przyszedł — zamruczał.

— Coś ty się tak tego Romka uczepli! — zniecierpliwiła się Kopaczowa. —
Poszedł do rodziców i sprawa skończona.

— Będę musiał zająć do Fabiszewskich.

— A to po co?

— Żeby sprawdzić, czy Romek u nich jest.

— Ty chyba dostałeś fioła z tym chłopakiem.

— Nie dostałem żadnego fioła — Kopacz niespodziewanie dla siebie samego podniósł głos. — Nic rozumiesz, kobito, że ja go wysłałem za tą klientką, co to przyniosła dwa buty z lewej nogi.

— Po jaką cholereż żeś go posłał?

— Żeby się dowiedzieć, gdzie mieszka. Nie słyszałaś, co Kazik mówił? Ze to może jakie narkotyki, jaki szmugiel.

— liii... — zirytowała się Kopaczowa. — Jakie tam narkotyki? Wymyśli. Kazio dobre dziecko, ale odkąd poszedł do tej milicji, to ciągle coś mu się wydaje, wszędzie widzi kryminalistów. Daj sobie z tym wszystkim spokój i idź spać. Zmęczony jesteś. Nawet nie wiem, czyś nie chory. Ani obiadu, ani kolacji porządnie nie zjadłeś. Idź spać. Wypocznij.

Kopacz jednak spać nie poszedł. Dręczył go niepokój o czeladnika.

Chłopak głupawy — medytował zatroskany — diabli wiedzą, co mu się mogło przytrafić. Czasami i mądry coś głupiego robi, a cóż dopiero idiota.

Zaczekał jeszcze dobre pół godziny, mając nadzieję, że jednakże Romek się pojawi, a następnie, nie zważając na gderanie Wikci zawiązał krawat, włożył marynarkę i pojechał tramwajem na Obserwatorów.

Fabiszewscy jeszcze nie spali, ale pani Helena już słała łóżka.

— Jest Romek? — spytał Kopacz. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie ma Romka. Myślałam, że został u państwa albo że miał dodatkową robotę w warsztacie i dlatego... A co się stało?

— Nic się nie stało — uspokoił ją bez przekonania Kopacz. — A pani mąż...?

— Zbysio jeszcze nie wrócił. Poszedł na imieniny.

Kopacz w zamyśleniu patrzył na ogromną kobietę, której waga niewątpliwie przekraczała sto kilogramów. Nie wiedział, co dalej robić. Czekać, aż Fabiszewski wróci z imienin czy wracać do domu?

— Gdzie Romcio? Co się z nim dzieje? — dopytywała się Fabiszewska.

— Żeby to ja wiedział. Myślałem, że siedzi w domu.

— Nie było go. Jak poszedł rano do warsztatu, tak go do tej pory nie widziałam. Gdzież on się podział?

— Właśnie. Gdzież on się podział? — powtórzył zafrasowany Kopacz i podrapał się w głowę.

Pani Helena chciała coś powiedzieć, ale w tej chwili rozległa się za oknami partyzancka piosenka „Rozszumiały się wierzby...”, wykonana donośnym, aczkolwiek nieco schrypniętym barytonem.

— O, Zbysio wraca! — zawołała radośnie.

Niebawem wtoczył się do pokoju Zbysio. Był to mężczyzna niezbyt wysoki, ale krępy i mocno zbudowany. Oczy miał duże, niebieskie, w tej chwili zasnuwane leciutką mgiełką, a braki włosów na czaszce, pokrytej wyłącznie różową skórą, rekompensowały potężne, sumiaste wąsy, starannie wypomadowane, jakby pod wpływem mody „retro”.

— Zbysiu, Romcio zginął — powiedziała dramatycznie Fabiszewska.

Zbysio potoczył zdumionym spojrzeniem po obecnych.

— Jak to zginął?

— Nigdzie go nie ma. W warsztacie go nie ma, u państwa Kopaczów go nie ma, w domu go nie ma. Zginął.

Fabiszewski usiadł i zaczął wysapywać wypity na imieninach alkohol. Przez dłuższą chwilę panowało pełne napięcia milczenie. Pierwszy odezwał się Kopacz:

— Muszę to państwu wyjaśnić.

— Niech pan wyjaśnia — zgodził się Fabiszewski, którego spojrzenie zaczynało się już wydobywać z mglistej zasłony.

Więc Kopacz opowiedział o dziwnej klientce, o dwóch brązowych butach z lewej nogi i o Romku, którego wysłał za obandażowaną kobietą.

— Przecież pan wie, panie Euzebiuszu, że nasz Romcio nie jest zbyt rozgarnięty

— powiedziała z wyrzutem pani Helena.

— Po prostu kretyn — dosadnie sprecyzował sprawę Fabiszewski. — No cóż... wola boska.

Trudno było odgadnąć, czy „wola boska” odnosi się do rozwoju intelektualnego młodego Fabiszewskiego, czy też do jego tajemniczego zniknięcia.

Pani Helena pytająco patrzyła na obu mężczyzn.

— Co robić?

Nic otrzymała odpowiedzi.

— Może jeszcze wróci — mruknął bez przekonania Kopacz.

Fabiszewski spojrzał na niego niechętnie i poruszył węsami.

— Nie powinien był pan go wysłać za tą babą, fakt.

— Nie powinienem — zgodził się Kopacz. — Ale stało się. Nie przypuszczałem przecież, że chłopak zaraz gdzieś się zapodzieje.

— Matko jedyna! — wykrzyknęła nagle pani Helena. — Może go zabili?

Fabiszewski spojrzał z nie ukrywanym niesmakiem na żonę.

— Dajże spokój. A któż. by tam zabijał takiego durnia?

— A niby kto winien, że dureń? — zaperzyła się. — Kto winien? Nie trzeba ci było po pijanemu leżeć do mnie pod pierzynę! Wszystko przez ciebie! — Chciała coś jeszcze mówić, ale Fabiszewski energicznie zamachał rękami.

— Bójże się Boga, Helciu. Po co wspominać takie dawne czasy przy ludziach. Co było. to było. Gadanie nic nie pomoże. A o Romka się nie martw. Na pewno wróci. Gdzieś trochę zabradziażył albo poszedł z kolegami na piwo, albo może z jaką dziewczyną...

— Głupstwa pleciesz — warknęła pani Helena. — A która by go chciała? Zrobiło się późno. Kopacz zaczął się żegnać, obiecując, że wpadnie z samego rana dowiedzieć się, czy Romek wrócił.

Bardzo źle spał i miał makabryczne sny. Śniło mu się, że obandażowana kobieta ćwiartowała zwłoki Romka ogromnym rzeźnickim nożem.

Wczesnym rankiem pojechał na Obserwatorów. Romka nie było. Pani Helena płakała, a Fabiszewski chodził po mieszkaniu, klął i szarpał wąsy. Obrzucił Kopacza nienawistnym spojrzeniem.

— Nie ma naszego syna. Trzeba na milicję.

— Na milicję?! — Kopacz uderzył się pięścią w czoło. — Jakiż ze mnie idiota. Na śmierć zapomniałem. Przecież trzeba do Kazia...

Wybiegł na ulicę i z najbliższego automatu zatelefonował do komendy. Powiedziano mu jednak, że sierżant Kopacz wyjechał służbowo w teren i w Warszawie będzie dopiero za dwa dni.

— Nie możemy czekać dwa dni — zawyrokował Fabiszewski.

— Masz rację, Zbysiu. Nie możemy czekać dwa dni — poparła go pani Helena.

— Trzeba szukać, trzeba ratować Romcia.

Wszyscy troje udali się więc do komendy Mokotów.

Dyżurny oficer z pewnym zniecierpliwieniem wysłuchał opowieści Kopacza o dwóch brązowych butach z lewej nogi.

— Ale o co właściwie chodzi? — spytał.

— Nasz syn zaginął — jęknęła pani Helena. — Nasze jedyne dziecko — dodała, pragnąc wyrzucić większe wrażenie na przedstawicielu władzy.

— W jakim wieku dziecko? — indagował porucznik.

' — W marcu skończył dwadzieścia lat.

— Pije?

— Romcio? Pije? — oburzyła się Fabiszewska. — Nigdy w świecie. Jak żyje, nie miał kropli wódki w ustach. On tylko lody, ciastka i cukierki...

Porucznik spojrzał uważnie na rozgorączkowaną kobietę.

— Czy syn państwa jest zupełnie normalny? — spytał.

— Niezupełnie — odparła pośpiesznie pani Helena, — Ale czytać umie.

— Jakie tam czytanie — skrzywił się sceptycznie Fabiszewski.

Pani Helena spojrzała ze złością na męża.

— Ty także nie jesteś znowu taki bardzo odcytany.

— Dobrze, już dobrze, w porządku — powiedział pośpiesznie porucznik, widząc, że zanosi się na dłuższą sprzeczkę małżeńską. — Zajmiemy się sprawą syna. Proszę mi podać dokładne dane i przydałaby nam się także fotografia.

— Mam tylko zdjęcie Romcia, kiedy był niemowlęciem — powiedziała pani Helena i pociągnęła nosem melancholijnie.

Porucznik uśmiechnął się, zanotował personalia zaginionego i obiecał, że zaraz zorganizuje poszukiwania. Kiedy już mieli wychodzić, zatrzymał ich ruchem ręki.

— Jeszcze chwileczkę. Czy syn państwa miał może jakieś znaki szczególne?

— Miał. Papugę — odparła pani Helena.

— Papugę?

— Tatuaż — wyjaśnił Fabiszewski. — Jak skończył osiemnaście lat, to jacyś durni koledzy namówili go, żeby sobie kazał wytatuować papugę.

— Dlaczego właśnie papugę?

— A diabli wiedzą. Tak im coś do głupich łbów strzeliło. Romek powiedział nam, że to na pamiątkę, że tego nie można ani zmyć, ani wytrzeć. I faktycznie nie można.

— Gdzie ma ten tatuaż?

— Na lewej ręce, poniżej łokcia.

Porucznik zanotował i pożegnał strapiionych rodziców oraz majstra Kopacza, który miał bardzo niewyraźną minę. Poczuwał się do winy.

Rozdział II

Zadzwoił telefon. W słuchawce zabrzmiał dobrze znany głos sekretarki szefa:

— Czy sierżant Kopacz?

— Przy aparacie.

— Do pułkownika. Piorunem.

Przygładził włosy i wybiegł z pokoju. Na korytarzu nerwowym ruchem obciągnął na sobie mundur.

Czego może chcieć ode mnie stary? — myślał niespokojnie. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby pułkownik wzywał go do siebie.

Z bijącym sercem zastukał do sekretariatu.

Pani Grażyna obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

— Moglibyście się ostrzyc — powiedziała. — Wejdźcie. Pułkownik czeka.

Kazio wszedł i zatrzymał się przy drzwiach.

— Dzień dobry.

Pułkownik Leśniewski wskazał krzesło, stojące przed biurkiem.

— Siadajcie. Jak wam się u nas pracuje?

— Nie narzekam. Roboty sporo, ale jakoś daję radę...

Pułkownik zapalił papierosa.

— Jestem z was zadowolony, kolego Kopacz. Macie tu u nas opinię pracownika inteligentnego, bystrego, w robocie wykazujecie dużo inicjatywy...

Kazio uśmiechnął się niewyraźnie. Wszelkie pochwały zawsze go bardzo niepokoiły. Stanowczo wolał solidny „obsztorc”.

— Staram się, jak mogę, panie pułkowniku.

— To dobrze, to bardzo dobrze. — Leśniewski otworzył teczkę z aktami i przejrzał jakieś notatki. — Chciałbym wam powierzyć pewne odpowiedzialne zadanie. Mam nadzieję, że poradzicie sobie.

— Zrobię wszystko, co będę mógł.

— Bo widzicie... jest taka sprawa... — mówił dalej pułkownik. — Od pewnego czasu zdarzają się coraz częstsze kradzieże w niektórych naszych hotelach. Trzeba się do tego energicznie zabrać.

— Bardzo chętnie — pokiwał skwapliwie głową Kazio. — Ale co miałbym robić?

— W hotelu „Forum” wystąpicie jako kelner.

— Jako kelner?

— Tak. Chyba potraficie nosić tacę ze szklankami, z filiżankami, z talerzykami...

— Mogę spróbować.

— To przecież nie taka filozofia — uśmiechnął się pułkownik. — Zresztą nie będziecie przeciążeni pracą. Chodzi o to, żebyście zorientowali się w terenie, a na kelnera nikt nie zwraca uwagi. To wam ułatwi robotę. Uzgodniłem już całą sprawę z dyrekcją hotelu. Możecie zacząć choćby od zaraz. Zgłosicie się z mojego polecenia do dyrektora i omówicie z nim szczegóły. Bardzo mi zależy na nakryciu tego złodzieja. Pewne fakty przemawiają za tym, że kradzieże popełnia jedna i ta sama osoba. Można przypuszczać, że to jakiś fachowiec. Może rodak, a może zagraniczny gość. Trudno zgadnąć. W każdym razie działa sprytnie i posiada dobre przygotowanie zawodowe. To nie żaden amator. Macie ochotę na tę robotę?

— Jasne, panie pułkowniku. Zaraz lecę do „Forum”. Już ja przyskrzynię tego cwaniaka.

— Albo cwaniaczkę — uśmiechnął się Leśniewski.

— Racja. To przecież może być kobieta.

— Właśnie. Na przykład młoda, elegancka dziewczyna, nie budząca żadnych podejrzeń. Albo starsza, bardzo nobliwie wyglądająca pani. Wszystkie możliwe warianty musicie brać pod uwagę. To nie jest taka prosta sprawa. Musicie zmobilizować cały wasz spryt i inteligencję.

— Zmobilizuję — obiecał z zapalem Kazio. — Czy zaraz mam jechać do „Forum”?

— Idźcie do swojego pokoju i chwilę zaczekajcie. Ja jeszcze porozumiem się telefonicznie. Być może, że zaczniecie dopiero od jutra.

Kazio wrócił do siebie. Był ogromnie podekscytowany. „Tajna misja” pobudziła jego wyobraźnię. Już widział się w roli sławnego agenta do specjalnych poruczeń, coś w rodzaju Bonda albo Klossa

Z marzeń o wielkiej karierze wyrwał go natrętny dzwonek telefonu. Z biura przepustek informowano, że zgłosił się obywatel Euzebiusz Kopacz i pragnie się zobaczyć z synem.

Kazio z trudem opanował zniecierpliwienie. Absolutnie nie był w tej chwili w nastroju, żeby gawędzić z ojcem. Nie mógł jednak starego odesłać z niczym.

Poprosił, żeby mu wydano przepustkę.

Zanim jednak załatwiono wszystkie formalności, zbiegł na dół. W ostatniej chwili doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli porozmawia z ojcem bez świadków, a przecież do pokoju, w którym urzędował, lada chwila mogli wrócić koledzy.

— Co się stało, tato?

Kopacz żałośnie spojrział na syna.

— Źle się stało, Kaziu, bardzo źle się stało. Może ty coś poradzisz.

— Ale o co chodzi?

— Romek zaginął.

— Ten przygłupi?

— Przygłupi, nie przygłupi, ale mi w warsztacie pomagał i nawet już się tego i owego przyuczył. Miałbym z niego pociechę. Nie mogę sobie darować, że go posłał 'za tą cholerną babą.

— Za jaką babą?

Kopacz tak już opanował tekst swojej sławnej opowieści, że bardzo sprawnie zaznajomił syna z faktami dotyczącymi tajemniczego zniknięcia młodego Fabiszewskiego.

— Mówiłem ci już przecież o tych dwóch butach z lewej nogi — powiedział na zakończenie.

Kazio zafrasował się.

— Głupia sprawa. Chyba mu się nic złego nie stało. Może się gdzieś zawieruszył z jakimiś kolegami? Jak się nie znajdzie do wieczora, będziemy szukać.

— Byliśmy z Fabiszewskimi na komendzie, na Mokotowie — wtrącił Kopacz.

— Zameldowaliśmy o zaginięciu Romka.

— To bardzo dobrze. Zadzwoń do nich i pogadam. Mam tam kumpla. Niech tata jedzie do domu i niech się tata nie denerwuje. Jakoś to będzie. Znajdziemy Romka.

Zaledwie Kazio wrócił do swojego pokoju, zaterkotał telefon. Dzwonił pułkownik.

— Porozumiałem się. Zaczniecie od jutra. Z samego rana wpadnijcie do mnie. Chcę wam jeszcze parę rzeczy wyjaśnić.

I tak, zupełnie niespodziewanie, sierżant Kopacz został kelnerem w hotelu „Forum”. Rozpoczął swą działalność od solidnego zapoznania się z terenem. Odwiedził wszystkie piętra, zorientował się w numeracji pokoi, zbadał system wind, obejrzał restaurację i cocktail-bar. zaznajomił się z personelem.

Po tych wszystkich wstępnych czynnościach zaczął obserwować gości hotelowych. Było dużo cudzoziemców. Rozmowy prowadzono po niemiecku, po

angielsku, po francusku oraz w przeróżnych narzeczach murzyńskich i arabskich. Niestety Kazio w latach szkolnych zapoznał się jedynie trochę z rosyjskim, a i to pobieżnie. Teraz bardzo tego żałował i postanowił w najbliższym czasie zapisać się na kursy języków obcych. Doszedł bowiem do wniosku, że „tajny agent”, który nic nie rozumie, jest raczej słabo wykwalifikowanym tajnym agentem. Po paru dniach zwierzył się ze swych wątpliwości pułkownikowi. Ten pokiwał głową i powiedział:

— No cóż... Oczywiście dobrze by było, żebyście znali jakiś obcy język, ale...

— Może kto inny będzie się lepiej nadawał do tej roboty — westchnął smętnie Kazio.

Pułkownik jednak był odmiennego zdania.

— Ja wam coś powiem. Kopacz. Pewnie, że znajomość obcych języków ważna rzecz, ale z drugiej strony złodziej nie będzie się nikomu zwierzał ze swych planów. A jeżeli nawet ma współnika czy współpraczkę, to zawsze będzie się z nimi porozumiewać niezwykle dyskretnie, tak żeby nikt nie słyszał. I czybyście władali dziesięcioma językami, czy żadnym, to rezultat będzie mniej więcej laki sam. Musicie patrzeć, a nie słuchać. Przede wszystkim musicie mieć otwarte oczy i to szeroko otwarte. Pokręćcie się w pobliżu recepcji. To podstawowa baza waszej akcji.

Więc Kazio kręcił się pilnie koło recepcji, co dało pewne pozytywne rezultaty, a ściślej mówiąc uzupełniło jego wiedzę z zakresu życia hotelowego.

Po pierwsze więc spostrzegł, że gość wychodzący z hotelu kładzie klucz na ladzie w recepcji, a recepcjonista nie zawsze natychmiast wieszka go na tablicy rozdzielczej.

Człowiek zręczny, obdarowany szybką orientacją i błyskawicznym refleksem, bez większego trudu może zabrać klucz i, korzystając z nieobecności właściciela, splądrować pokój, przywłaszczając sobie cenniejsze przedmioty. Po drugie wystarczy wymienić numer pokoju, żeby otrzymać właściwy klucz. Można by więc obserwować kogoś wychodzącego z hotelu i po paru minutach zażądać klucza. Przy takim ruchu recepcjoniści nie są w stanie zapamiętać twarzy gości. Poza tym dobry fachowiec przy użyciu odpowiednich narzędzi może stosunkowo łatwo otworzyć drzwi hotelowego pokoju, nie pokazując się w recepcji.

Zbadawszy możliwości zastosowania różnych technik złodziejskich, Kazio zajął się obserwacją gości hotelowych. Nie było to rzeczą łatwą. Ruch duży, sezon w pełni. Jedni przyjeżdżają, drudzy wyjeżdżają. Ciągłe nowe twarze, nowi ludzie, nowe walizki, torby, nesesery.

Zanosił śniadania i kolacje do pokoi. Obserwował mężczyzn, kobiety, dzieci. Pojawia! się nieraz nie wzywany, przeproszał, mówiąc, że się pomylił. Rozglądał się, próbował nawiązywać rozmowy. Jednak wszystkie te „strategiczne posunięcia” nie dawały widocznych rezultatów.

Po pewnym czasie sierżant Kopacz nabrał takiej wprawy jako kelner, że chwilami zastanawiał się nawet nad tym, czy by nie zmienić zawodu. Kariera „tajnego agenta” pociągała go jednak bardziej aniżeli roznoszenie kawy, herbaty

i kanapek z szynką. Im dłużej kręcił się po terenie „Forum”, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że amatorem cudzej własności jest rodak. Cudzoziemiec raczej nie przyjeżdżałby do Warszawy na gościnne występy. Bo właściwie po co? Dla dobrego fachowca, działającego na skalę międzynarodową, hotel „Forum”, „Bristol”, „Grand Hotel” czy „Europejski” to nie była żadna atrakcja. Na co mógł liczyć? Magnetofon, tranzystor, adapter, zegarek, jakaś drobna biżuteria. Mało interesujący towar. Do Warszawy nie przyjeżdżają bogaci maharadzowie ani multimilionerzy z kobietami obwieszonymi wspaniałymi koliami, ani sławne gwiazdy filmowe, posiadające puzdra wypełnione klejnotami. Nie, stanowczo na te wszystkie drobne przedmioty, które dotąd ginęły, mógł się połakomić jakiś pomysłowy osobnik z Gdańska, z Elbląga, z Olsztyna czy z Radomia. Ostatecznie pod wpływem pewnych filmów, których bohaterami są przestępcy budzący sympatię widza, mógł się wykształcić niejeden zdolny szczer hotelowy rodzimej produkcji.

Takie rozumowanie w znacznym stopniu wpłynęło na uspokojenie Kazia. Jeżeli bowiem ów złodziejaszek był Polakiem, odpadał problem znajomości języków obcych. Już nie trzeba było nawiązywać kontaktów po niemiecku, po angielsku czy po francusku. Wprawdzie pułkownik twierdził, że w danym wypadku ważniejsze jest patrzeć aniżeli słuchać, ale mimo wszystko dobrze jest cośkolwiek rozumieć.

Kobieta, która z różnych względów zainteresowała sierżanta Kopacza, była postawną, dorodną blondyną o ciemnych, aksamitnych oczach i niezwykle atrakcyjnym biuście. Ubierała się modnie, elegancko, ale elegancja ta nie miała w sobie nic z przesady tak często spotykanej u młodych dziewczyn, pragnących za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Wprost przeciwnie, stroje pani Marioli Vauban odznaczały się ogromną dyskrecją zarówno pod względem kroju, jak i zestawień kolorystycznych. Żadnych ekstrawagancji, żadnych jaskrawych barw, żadnych rzucających się w oczy ozdób czy klejnotów. Zawsze szykowna, elegancka, ubrana stosownie do pory dnia i okoliczności, ale na pierwszy rzut oka robiąca wrażenie osoby skromnej, cichej, pragnącej jak najmniej się wyróżniać z szarego tłumu. Mówiła bezbłędnie po polsku, z ledwie dostrzegalnym cudzoziemskim akcentem.

Kazio z dwóch powodów zainteresował się panią Vauban. Po pierwsze o takiej właśnie kobiecie marzył w skrytości ducha, a po drugie często ją spotykał na różnych piętrach, co było rzeczą zastanawiającą. Jeżeli bowiem ktoś mieszka na dziesiątym piętrze, to nie ma najmniejszego powodu, żeby przechadzać się po korytarzu szesnastego.

Sierżant Kopacz należał do ludzi, którym wdzięki niewieście nie są w stanie przesłonić obowiązków służbowych. Podobała mu się bardzo, chwilami był nawet bliski zakochania, ale... działalność „tajnego agenta” tłumiała w nim romantyczne westchnienia.

Jedno nie ma nic wspólnego z drugim — mówił sobie w przystępie duchowej rozterki. I wodził za piękną panią Mariolą zachwyconym spojrzeniem, obserwując jednocześnie bacznie; czy nie dobiera się do cudzego pokoju. Nie dobierała się, ale dużo czasu spędzała w hotelu, odwiedzając wszystkie piętra. Widywał ją na korytarzach. Szła zawsze równym, spokojnym krokiem. O co jej chodzi? — myślał zaintrygowany. — Czego szuka? Czego albo kogo? Śniadania kazała sobie przynosić do pokoju. Więc przynosił. Zamieniali ze sobą kilka banalnych słów na temat pogody i programu telewizyjnego. Któregoś dnia z jakiegoś powodu do pokoju 1026 zaniósł śniadanie drugi kelner. Zrobiła w dyrekcji ostrą uwagę, podkreślając, iż nie znosi, żeby ją codziennie obsługiwał inny kelner. Dyrektor był nieco zaskoczony, ale obiecał, że zastosuje się do jej życzenia.

Kazio poczuł się bardzo mile połączony w swej męskiej ambicji. Przy tej okazji obejrzał się dokładnie w lustrze i doszedł do wniosku, że może się podobać nawet tak pięknej i eleganckiej kobiecie. Był wysoki, dobrze zbudowany, muskularny, wysportowany. Natura obdarzyła go twarzą męską, energiczną, o mocno zarysowanej dole szczęki i nie pozbawionym wdzięku kartoflowatym nosie.

W gruncie rzeczy nie wierzył jednak, żeby pani Vauban zapalała nagle ku niemu płomiennym afektem i łamał sobie głowę nad tym, co się kryje za tą dziwną sprawą.

Nosił więc dalej śniadania do pokoju 1026, uśmiechał się uprzejmie i rozmawiał o pogodzie, co zmuszało go do systematycznego wysłuchiwanie radiowych komunikatów meteorologicznych.

Drugą osobą, która zwróciła uwagę sierżanta Kopacza, był niejaki Wiktor Bodzicki. Przyjechał ze Szczecina i miał jakoby wziąć udział w jakimś zjeździe, organizowanym przez Polską Akademię Nauk.

Trudno się było jednak zorientować, co to za ujazd i kiedy konkretnie ma się odbyć.

Młody naukowiec był niezbyt wysoki, bardzo szczupły i niezwykle ruchliwy. Miał okrągłe, ciemne oczy, których spojrzenie mogło się wydawać niepokojąco bystre. Wszędzie go było pełno, w recepcji, w restauracji, w cocktail-barze, w hallu. Ciągłe się o coś wypytywał, informował, nawiązywał najrozmaitsze znajomości, mówił dość swobodnie po angielsku i po niemiecku. Interesował się ogromnie tym, kto przyjeżdża, kto wyjeżdża, jak długo będzie mieszkał w hotelu, jakie ma plany na najbliższą przyszłość.

Sierżant Kopacz obserwował owego osobnika niezwykle uważnie i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jest to znakomity kandydat na złodzieja hotelowego. Zbyt układny, zbyt towarzyski, zbyt wścibski, żeby to wszystko mogło nie mieć jakiegoś głębszego podłoża.

Pewnego poranka Kazio jak zwykle zaniósł śniadanie do pokoju 1026. Był w bardzo dobrym nastroju i miał szczegółowo opracowany komunikat o pogodzie.

Pani Vauban przyjęła go z codziennym uśmiechem, od razu jednak zauważyła, że coś jest nie w porządku. Wydawała się bledsza niż zazwyczaj i z trudem panowała nad zdenerwowaniem.

Kelnerowi nie wypada pytać o powód' zdenerwowania gościa. Sierżant Kopacz uklonił się więc tylko jakby z pewnym wahaniem i już miał wyjść z pokoju, kiedy spostrzegł, że jego ideał kobiecy kładzie palec na wargach, drugą zaś rękę wyciąga ku niemu. Podeszedł w milczeniu i wyjął z jej palców zwiniętą kartkę papieru. Zaraz potem dała mu znak, żeby wyszedł.

Nic od razu rozwinął kartkę, która była złożona we czworo. Wsunął ją od niechcienia do kieszeni, wyjmując jednocześnie chustkę do nosa. Dziwne zachowanie się pani Vauban kazało mu zastosować daleko idącą ostrożność. Dopiero kiedy znalazł się sam w windzie, przeczytał tajemniczy list: Wiem, że pan pracuje w milicji. Potrzebuję, pańskiej pomocy. Muszą z panem porozmawiać. Proszę absolutnie nikomu nie mówić o tej kartce, nawet pańskim przełożonym. Jutro o godzinie siedemnastej będę czekała na pana na ulicy Kromera, w moim wozie. Ciemnozielony Renault, rejestracja paryska. Sierżant Kopacz osłupiał i chociaż winda stała już na parterze, nie mógł się zdecydować, żeby z niej wyjść. Wreszcie jednak wyszedł, ale tylko po to, żeby wsiąść z powrotem i pojechać na ostatnie piętro.

Był kompletnie oszołomiony.

Skądże ona może wiedzieć, że ja jestem z milicji? — myślał, nie mogąc się pogodzić z tym, co przeczytał. — Na gębie mam to wypisane czy jak? Musiałem się czymś zdradzić. Ale co ja takiego zrobiłem? Zachowywałem się przecież tak jak każdy inny kelner. To coś zupełnie nieprawdopodobnego.

Raz jeszcze przeczytał kartkę pani Vauban i ogarnęło go zniechęcenie.

Do diabła z takim tajnym agentem! — skonstatował smętnie. — Świnie mi paść, a nie w milicji pracować! Trzeba mi było zostać w warsztacie u ojca i zelować ludziom buty. Przynajmniej byłby ze mnie jakiś pożytek. Jeżeli taka młoda kobieta z miejsca mnie rozszyfrowała, to ja się tak nadaję do milicyjnej roboty jak wół do karety. Cholera jasna...

I zaraz pojawiło się pytanie, co dalej? Skomunikować się z pułkownikiem i zameldować mu o tym? Właściwie tak by należało postąpić, ale z drugiej strony... Mariola Vauban obdarza go swoim zaufaniem, prosi, żeby nikomu nic nie mówić. Czy to byłoby w porządku, gdyby nie uwzględnił jej prośby? Zresztą został wydelegowany do „Forum” w zupełnie konkretnej misji, a ta sprawa nie ma przecież nic wspólnego ze złodziejami hotelowymi. O co chodzi, nie wiadomo, ale na pewno złodziejka hotelowa nie prosiłaby o pomoc funkcjonariusza milicji. Nonsens. No tak, ale prawdę mówiąc, co wie o tej pięknej kobiecie? Może prowadzi jakąś grę? Szykuje zasadzkę?^

Po dłuższych rozważaniach postanowił jednak zameldować pułkownikowi o jutrzejszym spotkaniu

Mimo iż myśli sierżanta Kopacza krążyły uparcie wokół tajemniczej kartki oraz ciemnozielonego Renaulta, nie zaniedbywał swoich codziennych obowiązków. Biegał po piętrach, zaglądał do restauracji, kręcił się koło recepcji.

Zauważył, że tego dnia Wiktor Bodzicki wykazywał ogromne ożywienie i także miał do załatwienia jakieś interesy w recepcji.

W pewnym momencie z windy wysiadła pani Vauban i, nie patrząc na nikogo, nie rozglądając się, położyła klucz na recepcyjnej ladzie, a następnie energicznym krokiem wyszła z hotelu.

Bodzicki, który znajdował się w pobliżu, przysunął się błyskawicznie i nakrył klucz dłonią.

Kazio niósł właśnie na tacy dwie butelki coca-coli i cztery szklanki. Razem wsiedli do windy. Kopacz spytał:

— Pan na które piętro?

— Na dziesiąte. — Sytuacja stawała się coraz bardziej podejrzana, ponieważ młody człowiek zajmował pokój na szesnastym piętrze.

Sierżant Kopacz pojechał wyżej, na dwunaste, natychmiast zjechał na dziesiąte, postać chwilę przy windzie i bez pośpiechu ruszył korytarzem.

Bodzicki wychodził z pokoju pani Vauban z dużą, ciężką walizką. Kazio z obojętną miną poszedł za nim i znowu obaj znaleźli się w windzie.

Młody człowiek uśmiechnął się niewyraźnie. Kazio odwzajemnił się promiennym uśmiechem.

W recepcji kandydat na współpracownika Polskiej Akademii Nauk położył klucz na ladzie i pośpiesznie skierował się ku wyjściu.

Dopiero na ulicy podszedł do niego sierżant Kopacz.

— Ciężka ta waliza. Pomogę panu. ,

— Ach, to pan — Bodzicki był niemile zaskoczony. — Nie, bardzo dziękuję.

Dam sobie radę.

— Po taksówki?

— Tak. Ale niech się pan nie fatyguje.

— To dla mnie żadna fatyga. — Sierżant Kopacz prawie siłą odebrał młodzieńcowi walizkę. — Po co ma się pan męczyć. Taki ciężar. Spoci się pan.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności na rogu Żurawiej i Parkingowej stał radiowóz.

Kazio popchnął w tym kierunku swojego towarzysza.

— Tym będziemy prędeż.

— Ależ to milicyjny...

— Nie szkodzi. Podrzuci nas.

Milicjanci spojrzeli na nich ze zdumieniem. Kopacz błyskawicznie wyjaśnił sytuację i pokazał legitymację służbową. Następnie wepchnął Bodzickiego razem z walizką do radiowozu.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że domniemany uczestnik naukowych zjazdów nie próbował nawet protestować. Był kompletnie oszołomiony. Dopiero w komendzie przyszedł trochę do siebie i zaczął się bronić.

— Co to jest? Co to znaczy? To gwałt. Nie macie prawa! Ja złożę skargę. Chyba nie wiecie, kim ja jestem.

— Wiemy — odparł spokojnie Kopacz. — Jesteś, przyjacielu, złodziejem hotelowym.

— Co takiego? To oszczerstwo!

— A ta walizka czyja? Pana?

— No chyba, że moja. A czyja miałyby być?

— Tak? Więc proszę ją otworzyć. Zamknięta na klucz.

Bodzicki zmieszał sio.

— Nie mam przy sobie kluczyka.

— No to w jakim celu wytaszczył pan tę walizę z hotelu?

— Chciałem ją przewieźć do znajomych.

— Do jakich znajomych?

— No... do moich znajomych. A zresztą co to pana obchodzi? Nie mogę sobie przewieźć własnej walizki, gdzie mi się podoba?

Wszedł porucznik Olszowski.

— Obywatelu poruczniku — zameldował Kopacz. — Przywiozłem z hotelu „Forum” tego gościa.

— To nieporozumienie, proszę pana. Bezprawie! — próbował znowu Bodzicki. Olszewski spojrzął na sierżanta.

— Powiedźcie, jak było.

— Zwyczajnie było; Zabrał cudzy klucz z recepcji, wszedł do pokoju jednej pani, chwycił walizkę i wyszedł, a ja za nim. Akurat trafił się radiowóz, to go władowałem i przyjechaliśmy.

— No i co wy na to? — zwrócił się Olszewski do zdenerwowanego młodzieńca. Nieporozumienie.

— To wasza walizka? - — Podobna do mojej.

— Ale nie wasza.

— Tak mi się wszystko pokręciło, panie poruczniku, że w ogóle nie jestem pewien, nic już nie wiem.

— Co za bzdury — wtrącił się Kopacz. — Ma pan pokój na szesnastym piętrze, a wysiadł pan na dziesiątym i włął do cudzego numeru. Po co ta cała gadka? Przecież....

— Chwileczkę — przerwał mu Olszewski. — Walizka jest zamknięta. Gdzie klucz? Jeżeli pan twierdzi, że to pańska walizka, powinien pan mieć klucz.

— Nie mam. Musiałem zgubić. Łatwo zgubić taki mały kluczyk.

Olszewski zwrócił się do Kopacza. — Z czyjego pokoju została wzięta walizka?

— Z pokoju pani Marioli Vauban. Dziesiąte piętro, numer 1026.

— Trzeba będzie zaprosić ją do nas. Dopiero jednak po paru godzinach wróciła do hotelu. Olszewski wysłał po nią sierżanta Pakułę. Nie chciał, żeby się Kopacz tam pokazywał.

Była zdziwiona.

— Czy ta walizka jest pani własnością? — spytał Olszewski.

- Nie.
- Jak to? Przecież została zabrana z pani pokoju.
- Ach, tak... Przypominam sobie — uśmiechnęła się. — Walizka rzeczywiście stała w moim pokoju, ale nie należy do mnie.
- Nie rozumiem. Więc czyja wreszcie jest ta waliza?
- Jednego starszego pana. Zostawił ją w moim pokoju.
- W jakich okolicznościach?
- To. trochę dziwna historia. Wracalam wczoraj wieczorem do siebie, otwierałam drzwi i w tym momencie jakiś starszy, elegancki pan poprosił mnie, żebym mu pozwoliła na chwilę zostawić walizkę, ponieważ zapomniał zabrać z recepcji klucz od swego numeru. Zgodziłam się oczywiście. W końcu to drobiazg...
- I od wczoraj nie odebrał tej walizki? — zdziwił się Olszewski.
- Nie. Przyznam się panu, że zupełnie o tym zapomniałam.
- Jak wyglądał mężczyzna, który zostawił u pani walizkę?
- Wysoki, szczupły, bardzo elegancko ubrany, szpakowaty. Zwróciłam uwagę, że jest ładnie opalony na czekoladowy brąz.
- Rozmawiał z panią po polsku?
- Nie. Po francusku.
- Dziwne, że nie odebrał swojej walizki.
- Skinęła głową.
- Mnie także to dziwi.

Sierżant Kopacz był niezwykle dumny ze swojego sukcesu. Nakrył złodzieja, który od dłuższego czasu spędzał sen z powiek kierownikom recepcji i dyrekcjom hoteli. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Został odwołany z „Forum” i w gruncie rzeczy był z tego zadowolony. Dostyc już miał biegania z tacką wypełnioną szklankami, filiżankami, talerzykami. Doszedł do wniosku, że jednak praca kelnera nie odpowiada mu. Początkowo trochę go to bawiło, ale na dłuższą metę nie było to zajęcie, które by go pasjonowało. Z pewna dozą melancholii myślał tylko o tym, że już nie zanieśie śniadania do pokoju pięknej pani Vauban. Nie mógł się też doczekać następnego dnia i godziny siedemnastej.

Od rana przygotowywał się na to spotkanie. Poszedł do fryzjera, kazał się ostrzyc, ogolić i spryskać wodą kolońską. Pożyczył od Pakuły trzysta złotych, ponieważ ta setka, którą miał w portfelu, wydała mu się zbyt skromnym kapitałem jak na tego rodzaju randkę. Obiad zjadł bez zwykłego apetytu. Żeby trochę odzyskać równowagę ducha, na Kromera poszedł piechotą. Ruch na świeżym powietrzu dobrze mu zrobił, ale nic mógł się pozbyć uczucia pewnej tremy. Ciągłe przecież nie wiedział, w jakim celu piękna pani się z nim umówiła. Za pięć piąta był na ulicy Kromera. Cicho, spokojnie, dużo drzew. Ani śladu wozu z paryską rejestracją. Stało tu parę zaparkowanych Fiatów, ale żaden z nich nawet kolorem nie przypominał samochodu pani Vauban.

Kazio zapalił papierosa. Czas płynął, a zielony Renault nie pojawiał się. To zaczynało być denerwujące. A tak się wszystko interesująco zapowiadało. Tak się przygotowywał. Psiakrew!

Za piętnaście szóstą doszedł do wniosku, że nie ma sensu dłużej czekać.

Zrobiła mnie w konia — myślał rozgoryczony sierżant Kopacz. — Dałem się nabrać jak szczeniak, jak idiota.

Ze złością cisnął niedopałek papierosa i energicznym krokiem opuścił swój posterunek.

Na drugi dzień z samego rana zawiadomiono komendę, że patrol milicyjny znalazł w okolicach Brwinowa wóz z paryską rejestracją. Ciemnozielony Renault. Przy kierownicy martwa kobieta. Strzał został oddany z małej odległości. Zabójca najprawdopodobniej siedział z tyłu. W torbie denatki znaleziono rachunek z hotelu „Forum”.

Rozdział III

Zwłoki wyłowiono pod Nowym Dworem. Stopień rozkładu był znaczny, ale jednak nie taki, żeby nie pozwalał na ustalenie pewnych charakterystycznych cech. Tatuaz na lewym przedramieniu pozostał zupełnie czytelny.

Miejscowy posterunek natychmiast zawiadomił Warszawę. Sprawa oparła się o komendę Mokotów. Przecież to oni poszukiwali chłopca z wytatuowaną na lewej ręce papugą.

Wezwano Zbigniewa Fabiszewskiego. Bez żadnych wątpliwości zidentyfikował zwłoki syna.

Z kolei przesłuchano starego Kopacza. Nic nie miał do dodania w tej sprawie. Znowu opowiedział o dwóch butach z lewej nogi i o tajemniczej kobiecie z obandażowaną twarzą. Natychmiast po wyjściu z komendy zatelefonował do Kazia.

— Znaleźli Romka. W Wiśle. Pod Nowym Dworem.

— Co ojciec mówi? Nie żyje?

— No chyba, że nic żyje. Przecie ci tłumaczę, że go wyłowili z Wisły.

— A Fabiszewscy go rozpoznali?

— Ojciec. Zresztą ten tatuaz... Tak się czuję, Kaziu, jakbym był winien.

— Dobrze, że ojciec do mnie zadzwonił — powiedział Kazio i odłożył słuchawkę.

— Idziemy z tym do pułkownika — zdecydował Olszewski.

Leśniewski z dużym zainteresowaniem wysłuchał opowiadania sierżanta.

— Czy wasz ojciec widział tę kobietę? — spytał.

— Widział, ale miała zabandażowaną twarz.

— A kiedy przysła pierwszy raz, z butami, to także była zabandażowana?

— Wtedy ojca nie było w warsztacie. Czeladnik, ten Romek, przyjmował buty od klientki. Byłby chyba coś wspomniał o jej dziwnym wyglądzie. Chociaż kto go wie...

Pułkownik zwrócił się do Olszewskiego.

— Pistolet?

— Tak. Podczas sekcji znaleziono kulę pod kręgosłupem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa strzał oddano z niewielkiej odległości.

— Kobieta w wozie także z pistoletu...

— Tak. Czekamy na wyniki ekspertyzy. Leśniewski zamyślił się.

— Ciekawe, czy to ta sama broń. To byłby niezwykle interesujący zbieg okoliczności.

— Co mamy zrobić z walizką? — spytał Olszewski

— Z jaką walizką?

— No, z tą z „Forum”.

— Nikt się dotąd nie zgłosił po swoją własność?

— Nikt choć o incydencie zaraz zawiadomiliśmy recepcję hotelu. Ale jak dotychczas nie zgłosił się właściciel.

— Walizka zamknięta?

— Zamknięta na klucz.

— W tej sytuacji należy ją otworzyć i zobaczyć, co zawiera. Zainteresujcie się, czy nie ma podwójnego dna.

— Myślałem już o tym — powiedział Olszewski

Downar wrócił z dwutygodniowego urlopu. Był opalony, rześki i w doskonałym nastroju. Ledwo pojawił się w komendzie, zakomunikowano mu, że pułkownik chce z nim mówić.

— Siadaj — powiedział Leśniewski. — Wyglądasz bombowo. Jak tam było na Mazurach?

— Pierwsza klasa. Lepiej niż w Bułgarii A jakie dziewczyny...

Leśniewski pogroził mu palcom.

— Oj, Stefanku, Stefanku. Ciągłe jesteś niepoprawny. Powiedz mi, ale tuk zupełnie szczerze, masz ochotę popracować?

Downar skrzywił się z niesmakiem.

— Dziwny jesteś. Widziałeś w swoim życiu takiego, który by po urlopie miał ochotę pracować? Chyba ze mi zaproponujesz coś wyjątkowo atrakcyjnego.

— Chciałem ci zaproponować, żebyś się zajął dwiema lewymi nogami.

— Dwiema lewymi nogami? — zdumiał się Downar. — Cóżeś ty znowu za sensację wykombinował na letni sezon?

— To nie ja wykombinowałem. To sierżant Kopacz.

— Sprytny chłopak. Ja ci go naraiłem.

— Wiem, że ty — uśmiechnął się Leśniewski — Najpierw Kociuba, teraz Kopacz. Dwaj panowie „K”.

— No więc co z tymi lewymi nogami? — zainteresował się Downar.

Leśniewski spojrzął na zegarek.

— Nie mam teraz czasu, żeby ci opowiadać tę dosyć długą i dziwną historię. Spieszę się do ministerstwa. Skontaktuj się z Olszewskim. Mówiąc poważnie, bardzo bym chciał, żebyś się zajął tą sprawą. Nie proponuję ci błahej rzeczy, dwa trupy.

Downar z uznaniem pokiwał głową.

— To już jest coś. Dwie lewe nogi, dwa trupy. No dobrze... Porozumiem się z Olszewskim.

— Nie mam pojęcia, z której strony do tego się zabrać — zwierzył się Downarowi Olszewski. — Przede wszystkim nie ma żadnych podstaw, żeby łączyć ze sobą te dwa morderstwa.

— A może dobrze by było, żebyś mi powiedział, o co właściwie chodzi?

— To ty nic nie wiesz?

— Absolutnie nic. Leśniewski coś mi tam wspomniał o lewych nogach, o trupach i pojechał do ministerstwa, zapewne na jakąś nasiadówkę.

Olszewski wyjął z szuflady biurka teczkę.

— Masz tu wszystkie akta sprawy. Podczas gdy Downar pogrążał się w studiowaniu protokołów, notatek, fotografii, ekspertyz lekarskich oraz dużego materiału daktyloskopijnego, Olszewski wyruszył na poszukiwanie sierżanta Kopacza. Po pewnym czasie wrócił, prowadząc ze sobą ekskelnera z hotelu „Forum”.

Kazio trzasnął energicznie obcasami i wyprężył się służbiście na widok majora. Downar podał mu rękę.

— Siadajcie. Opowiedzcie mi dokładnie, jak to było z tą walizką.

Kazio opowiedział.

— Czy na terenie hotelu nie widzieliście człowieka, który odpowiadałby rysopisowi podanemu przez panią Vauban?

— Nie.

— Nie mamy przecież pewności, czy mówiła prawdę — wtrącił się Olszewski.

—

Może to jej walizka? Chociaż sądząc z zawartości...

— Wszystkie przedmioty wyszczególniliście w protokole? — upewnił się Downar.

— Oczywiście. We dwóch z sierżantem Kopaczem oglądaliśmy rzecz po rzeczy. Kazałem zdjąć odciski palców.

— I z tej protezy?

— Jasne. I z tej protezy.

— Zawieźliśmy do ojca — powiedział Kazio. — Mówił, że buty, do których przybijał podeszwy, pasowałyby jak ulał do buta na protezie.

— Tamte były oba z lewej nogi. .

— Tak.

— A ten na protezie z prawej.

- Właśnie.
- Chciałbym się zobaczyć z waszym ojcem.
- To nic trudnego. W każdej chwili. Zadzwoń telefon.
- Po rozmowie Downar spojrział pytająco na Olszewskiego.
- Coś w tej sprawie?
- Wyniki ekspertyzy. I chłopak, i Vauban zostali zastrzeleni z tego samego pistoletu. Już teraz nie mamy żadnych wątpliwości, że obydwaj morderstwa łączą się ze sobą.
- Zatrzymaliście ubranie i buty tej kobiety?
- Oczywiście.
- A co znaleźliście w pokoju hotelowym?
- Nic specjalnie interesującego. Zwykle kobiece drobiazgi: pantofle, suknie, przybory toaletowe...
- Żadnej korespondencji?
- Żadnej. Ani notatek, ani listów, absolutnie nic.
- A co mówią w recepcji?
- Ze przyjechała z Paryża w celach turystycznych. Podobno miała zamiar odwiedzić swoich przyjaciół.
- Ale o tych przyjaciółach nikt nic nie wie.
- Nie.

Downar w zamyśleniu pokiwał głową.

— No, dobra. Trzeba będzie coś inteligentnego wykombinować. Na razie chciałbym zobaczyć buty pani Vauban.

Downar w towarzystwie sierżanta Kopacza odwiedził warsztat szewski. Stary Kopacz przyjął ich z chmurną twarzą. Od czasu wyłowienia z Wisły zwłok Romka chodził zły i ponury, źle sypiał, stracił apetyt, o byle co krzyczał na żonę, która koniecznie chciała go wysłać do lekarza.

Wywiesił kartkę „Przerwa obiadowa” i zamknął drzwi na klucz.

— Proszę, niech pan siada, panie majorze. Nie będzie może panu bardzo wygodnie, ale co robić...

Downar usadowił się na niskim taborecie, a paczkę z butami pani Vauban położył koło siebie na podłodze. Kazio przycupnął na sosnowym pieńku.

— Wiem, że pana męczą te wszystkie rozmowy — uśmiechnął się łagodnie

Downar — ale wróciłem właśnie z urlopu, mam prowadzić tę sprawę i chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Kopacz z żalną miną potrząsnął głową.

— Nie mogę sobie darować. W żaden sposób nie mogę sobie darować, że wtedy posłałem tego chłopaka. Ale kto mógł wiedzieć, że go dranie zabiją. Kto mógł przypuszczać taką rzecz? Miejsca sobie znaleźć nie mogę. Co mi do łba strzeliło, żeby go wysłać za tą cholerną babą?

— Nie powinien pan sobie tak tego brać do serca — próbował uspokoić go Downar. — To przecież nie pana wina. Nie sposób było przewidzieć, że to się tak skończy. Ale dlaczego właściwie wysłał pan chłopaka za tą klientką?

Stary wzruszył ramionami.

— A bo ja wiem? Tak mnie coś napadło. No... po prostu przez ciekawość. Przyniosła dwa buty z lewej nogi, oderwane podeszwy, cała obandażowana. Kazik mówił, że to może jakaś szmuglerska afera. Chciałem się przekonać. Powiedziałem Romkowi: „Idź za nią. Zobacz, gdzie mieszka”. No i poszedł.

— Jak wyglądała ta kobieta? — spytał Downar.

— Wysoka, postawna.

— Czy Romek nie wspominał panu, że kiedy przyniosła buty, to też była zabandażowana ?

— Nie. Nic nie mówił.

— A może pan zauważył, jakie buty miała na nogach klientka?

— No chyba, że zauważyłem. Eleganckie pantofelki, zagraniczne, z jaszczurki.

Downar rozwinął papier i wyjął z paczki buty pani Vauban.

— Może takie? — spytał.

Na twarzy starego Kopacza odmalowało się zdumienie.

— To te! — wykrzyknął niemal radośnie. — Te same. Jak Boga kocham.

— Jest pan pewien?

— Absolutnie. Zagraniczny towar. U nas takich porządnych nie robią. Nawet paski tak samo wszyte. Chyba, żeby druga identyczna para, ale...

Oglądał uważnie buty pani Vauban, bardzo podekscytowany.

— A tamie męskie buty, te z lewej nogi, to były krajowej produkcji czy zagranicznej?

Kopacz pokręcił głową.

— Tego nie powiem z całą pewnością, bo nie wiem. Prywatna robota, ale firmy żadnej nie było. Wyglądały na zagraniczne, bo skóra bardzo dobra, porządnie wyprawiona, nie to co teraz u nas. Ale ktoś może sobie przywieźć skórę z zagranicy, a tutaj dać do roboty. Porządne, stalunkowe buty, takie jak w Warszawie przed wojną robili. Bo teraz to u nas skóra byle jaka, że płakać się chce.

— Przynosili tu panu do obejrzenia protezę z butem — powiedział Downar. — Z prawym butem.

— Oglądałem. A jakże. To but od pary od tamtych dwóch. Ta sama robota, ta sama skóra. Nawet szycie to samo.

— Czy tamte dwa buty z lewej nogi były identycznego koloru?

— I kolor ten sam, i wszystko inne. Żadnej różnicy.

— A czy pani, która je przyniosła, dobrze mówiła po polsku?

— Dobrze. Nie tak wiele z nią rozmawiałem.

— Ale chyba Romek powiedziałby panu, gdyby była zabandażowana?

— Bo ja wiem. Chybaby powiedział.

Downar zaproponował, żeby jeszcze raz przesłuchać złodzieja hotelowego. Wiktor Bodzicki wydawał się zgaszony i apatycznym spojrzeniem wodził po twarzach oficerów. Nie wyglądał na człowieka, który ma zamiar wysilać się na jakieś chytne posunięcia strategiczne. Sytuacja była właściwie zupełnie jasna i nie wymagała dodatkowych komentarzy.

Downar przez pewien czas przyglądał się uważnie młodemu człowiekowi. Doszedł do wniosku, że to nie jest twarz głupiego, prymitywnego złodziejaska. Zresztą złodzieje hotelowi to przeważnie ludzie sprytni, inteligentni, obdarzeni często walorami towarzyskimi oraz błyskawicznym refleksem. Trudno było sobie wytłumaczyć, jak to się stało, że Bodzicki ukradł taką dużą, ciężką, rzucającą się w oczy walizę. Doświadczony fachowiec ogranicza się raczej do drobnych a wartościowych przedmiotów: aparat fotograficzny, magnetofon, zegarek, coś z biżuterii, ale potężna waliza... Nie, stanowczo za tym coś się kryło. — Jak pan się czuje? — spytał Downar z niespodziewaną troskliwością.

Bodzicki spojrział zdumiony.

— Jak ja się czuję? Bo ja wiem. Jak to w kryminale. Nie ma się czym zachwycać.

— Czy pan wiedział, co zawiera walizka, którą pan zabrał z pokoju 1026?

— Nie wiedziałem.

— I tak na ślepo wy taszczył pan wielką, ciężką walizę, nie orientując się nawet, czy ryzyko się opłaca? Przecież w walizce mogły być na przykład jakieś książki? Pechowy młodzieniec zwilżył końcem języka spieczono wargi.

— Miałem dostać pięć patyków — powiedział cicho.

— Pięć tysięcy? Za co?

— Za przeniesienie tej walizki. Jeden facet mnie napuścił.

— Gość hotelowy?

— Tak. Mieszkał na dwunastym piętrze

— I zaproponował panu pięć tysięcy za dostarczenie mu tej walizki?

— Właśnie.

— A pan się zgodził.

— Nie mogłem odmówić. Miał mnie w ręku.

— Nie rozumiem.

— To proste. Nakrył mnie w swoim pokoju. Myślałem, że wyszedł na miasto, a on się wrócił i... Powiedział, że nie wyda mnie milicji, jeżeli to zrobię. Prócz tego obiecał pięć patyków. Co miałem robić?

— Czy pan może zna nazwisko tego gościa?

— Nie. Nie interesowałem się, jak się nazywa.

— A gdzie miał pan zawieźć tę walizkę?

— Miałem ją zostawić w przechowalni na Dworcu Wschodnim, a kwit jemu oddać. Nie wyszło to wszystko. Pech.

— Jak wyglądał człowiek, który panu obiecał pięć tysięcy?

— Barczysty gość, dosyć wysoki, blondyn ryżawy. Prawdę mówiąc, paskudna morda.

— Mówił po polsku?

— Mówił, ale tak twardo. Chyba Niemiec. Słyszałem, jak z jakimś facetem po niemiecku szwargotał.

— Poznałby go pan?

— No chyba.

— Czy pamięta pan numer pokoju, w którym mieszkał?

— Oczywiście. 1217.

Downar kazał wyprowadzić Wiktora Bodzickiego.

— No i co o tym myślisz? — spytał, spoglądając na Olszewskiego.

Porucznik wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Chyba nie kłamie. Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić, żeby doświadczony złodziej hotelowy taszczył ciężką walizkę nie wiedząc, co w niej znajdzie.

— Otóż to — przytaknął Downar. — Mnie od samego początku wydawało się to mało prawdopodobne. Wersja o „pracy zleconej” robi już bardziej przekonujące wrażenie. Mogło tak być.

— Ale to nam dodatkowo komplikuje sprawę. Co proponujesz?

Downar myślał chwilę.

— W walizce nic nie było interesującego...

— Nic.

— Ani narkotyków, ani biżuterii, ani waluty...

— Nic z tych rzeczy.

— Więc dlaczego tamtemu facetowi tak na niej zależało, że aż chciał dać pięć tysięcy?

— Diabli wiedzą. Chyba nie przez sentyment do pamiątek rodzinnych. Ta proteza...

— O, właśnie — podchwycił Downar. — Proteza...

— Chciałbyś zobaczyć, co jest w środku?

— Mam taki zamiar. To właściwie jedyna szansa.

Olszewski przyniósł protezę, a następnie wezwał sierżanta Pakułę, który miał w komendzie opinię zręcznego majsterkowicza. Pakuła wyjął z kieszeni różne przyrządy i ochoczo zabrał się do roboty.

Trwało to dosyć długo, ponieważ po raz pierwszy w życiu miał do czynienia z protezą, a chciał się popisać swoimi umiejętnościami i możliwie jak najbardziej precyzyjnie wykonać zadanie.

— Nie mogę przecież tak na chama tego wszystkiego rozwalić — mówił, poganiany przez Olszewskiego. — To delikatna robota.

Wreszcie proteza została starannie rozpruta.

— Papier — powiedział rozczarowany sierżant. — *Tylko papier. Myślałem, że będą brylanty albo narkotyki. Szkoda fatygi.

Downar wyciągnął rękę.

— Pokażcie.

Był to duży, podwójny arkusz kancelaryjnego papieru, złożony we czworo.

Downar rozłożył go. Olszewski podszedł z ciekawości. Przez pewien czas milczeli. Następnie major podziękował sierżantowi Pakule i odprawił go.

— Nazwiska — powiedział Olszewski

— Nazwiska i adresy — uzupełnił Downar, — Trzydzieści siedem. Niemcy, Francja, Szwajcaria, Austria, Włochy. O, jest i Polska. Dwa adresy: Gdańsk — Henryk Krauzer i Leśna Podkowa — Karol Wasicki. a w nawiasach Hans Glostetz.

Spojrzeni po sobie. Olszewski gwizdnął przeciągle.

— Miałeś zdaje się rację, żeby się zainteresować protezą. Lista jakichś ciekawych osobistości.

Downar wstał i przeszedł się po pokoju.

— Zawiadom natychmiast biura paszportowe, wszystkie punkty graniczne, lotniska i porty. Nie możemy wypuścić tych dwóch ludzi.

— Trzech — skorygował Olszewski. — Tego Glostetza także trzeba brać pod uwagę.

— Masz rację. Nawiasy można sobie różnie tłumaczyć. Albo Wasicki i Glostetz to jedna i ta sama osoba, albo Glostetz mieszka u Wasickiego czy też u Wasickiego u Glostetza. To nie będzie trudne do sprawdzenia.

Olszewski raz jeszcze przebiegł wzrokiem tajemniczą listę.

— Większość nazwisk o brzmieniu niemieckim, ale jest i parę włoskich i kilka francuskich. Żadnej kobiety. Sądziś, że to jakiś wykaz zbrodniarzy wojennych?

Downar pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Nie wydaje mi się. Trochę tego za dużo. I właściwie w jakim celu mieliby robić taki spis?

— W każdym razie musi to być ważny dokument, jeżeli tak chytrze ukryli go w protezie. Czy przypuszczasz, że ma to związek z tymi dwoma morderstwami?

— Bardzo prawdopodobne. Zapewne jesteśmy na tropie jakiejś afery międzynarodowej, jakiejś organizacji...

— Może powinniśmy zawiadomić władze niemieckie, francuskie, szwajcarskie, austriackie i włoskie? Może trzeba by im podać te nazwiska i adresy?

— Niewykluczone, że to zrobimy. Musimy się jednak porozumieć przede wszystkim z naszymi władzami.

Pułkownik Leśniewski ogromnie się zainteresował sensacyjnym odkryciem.

— Rzeczywiście bardzo ciekawe — powiedział uważnie studiując listę. — I mówicie, że to w protezie...

— W protezie — przytaknął Downar. — Teraz już zaczyna się rysować pewna hipoteza dotycząca reperacji dwóch butów z lewej nogi. Bardzo prawdopodobne, że ktoś szukał tej listy pod podeszwami, nie znalazł i kazał buty naprawić. Być może nie chciał, żeby ich właściciel domyślił się owych poszukiwań. I dlatego oddał buty do szewca, żeby przybił podeszwy.

— Według zeznań świadków to była kobieta — zauważył Olszewski. — Chociaż to nic pewnego. Mógł przyjść do starego Kopacza mężczyzna przebrany za kobietę. Za pierwszym razem widział klientkę tylko niedorozwinięty czeladnik, a

potem miała zabandażowaną twarz. Stary mógł się nie zorientować, czy to kobieta, czy mężczyzna. Ja sam często nie potrafię się w tramwaju połapać, czy stoi przede mną chłopak, czy dziewczyna.

— Zapomniałeś o damskich butach — wtrącił Downar.

— Wcale nie zapomniałem. Ale nie możemy wykluczyć ewentualności, że buty z lewej nogi oddał do reperacji kto inny, a odebrał kto inny. Jeżeli oba morderstwa mają jakiś związek z reperacją tych butów, to chyba bez wątpienia chodzi tu o bardzo poważną rozgrywkę i osoba oddająca buty do szewca mogła być śledzona. Obandażowana twarz 'potwierdzałyby taką hipotezę.

Pułkownik z dużym zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie swoich współpracowników. Powiedział:

— Wydaje mi się, że w tej chwili nie ma sensu gubić się w rozmaitych przypuszczeniach, hipotezach. Są trzy pilne sprawy do załatwienia: po pierwsze trzeba porozumieć się z dyrekcją „Forum”, po drugie pojechać do Gdańska do Henryka Krauzera, a po trzecie należy złożyć wizytę Karolowi Wasickiemu i zorientować się, co oznacza umieszczone w nawiasach nazwisko Hans Glostetz.

— Czy zawiadamiamy zagranicę? — spytał Downar.

Leśniewski zapalił papierosa. Nie od razu odpowiedział.

— Tym się nie interesujcie. Trzeba to przemyśleć, przedyskutować.

— Rozumiem — Downar wstał. — Chciałbym mieć kopię tej listy.

— Chyba że sam sobie przepiszesz. Nie mogę tego dać żadnej maszynistce.

— Ja przepiszę — zaoferował się Olszewski. — Zrobię parę odbitek.

Wrócili do swojego pokoju. Olszewski nie tracąc czasu usiadł przy maszynie, ale Downar nie dał mu spokojnie pracować. Zbyt był podekscytowany. Musiał się z kimś podzielić myślami.

— Gangsterzy?

Porucznik podniósł głowę.

— Wątpię.

— Ja też wątpię „Więc może jakaś organizacja polityczna?

— To już prędzej.

— Albo lista osób, które mają być zlikwidowane.

Olszewski skrzywił się sceptycznie.

— Trzydziestu siedmiu facetów rozsianych po całej' Europie...? Nie sądzisz, że to trochę dużo?

Downar niecierpliwymi krokami chodził po pokoju.

— Rzeczywiście sporo, ale nie możemy wykluczyć, że to są ludzie skazani przez jakąś organizację terrorystyczną na śmierć.

— Nie możemy — zgodził się Olszewski i zaczął stukać na maszynie.

Downar znowu mu przerwał.

— Masz ochotę przejechać się do Gdańska?

— Pojadę. Dawno mnie tam nie widzieli. A ty zajmiesz się Wasickim?

— Chyba tak. Trzeba ich szybko obskoczyć. zanim się zorientują.

— Myślę, że już się zorientowali — powiedział Olszewski. — Może dałbyś mi to przepisać?

— Zaraz cię zostawię w spokoju. Czy sądzisz, że człowiek z taką protezą trochę kuleje?

— Nie orientuję się. Zawsze miałem dwie nogi, jedną prawą, drugą lewą, od urodzenia.

Downar machnął ręką.

— Przepisuj. Już ci nie przeszkadzam. Olszewski energicznie zabrał się do roboty.

Rozdział IV

Akcja „Dwie lewe nogi” zaczynała zataczać coraz szersze kręgi. Zwiększono czujność na lotniskach, w portach i kolejowych punktach granicznych.

Pułkownik Leśniewski pojechał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie odbył długą konferencję na temat ewentualnego nawiązania kontaktu z władzami państw, w których przebywali osobnicy wyszczególnieni w owym tajemniczym spisie, porucznik Olszewski poleciał samolotem do Gdańska, żeby sprawdzić Henryka Krauzera, Downar zaś działał na terenie Warszawy.

Zaczął od tego, że wysłał do hotelu „Forum” sierżanta Pakułę, który przyniósł niepokojące wiadomości. Ów ryży blondyn, który obiecał Wiktorowi Bodzickiemu pięć tysięcy za wykradzenie walizki, przyjechał w sprawach handlowych z Berlina Zachodniego, jego paszport został wystawiony na nazwisko Emila Steinberga. Opuścił Warszawę na drugi dzień po nieudanej kradzieży.

Przestraszył się i uciekł — pomyślał Downar. Zabrał się do wertowania akt. Sprawa wydawała się paskudnie zagmatwana, trudno było znaleźć jakiś punkt zaczepienia, który pozwoliłby na pchnięcie naprzód śledztwa. Właściwie żadnych konkretnych danych. Dwa buty z lewej nogi, dwa morderstwa i to wszystko. Żadnych dodatkowych okoliczności, żadnych świadków, żadnych poszlak. Jedyne człowiek, który mógł być źródłem informacji, uciekł z Warszawy. Zrobił to bardzo szybko.

Sierżant Kopacz zameldował się dopiero późnym popołudniem.

— No i czego dowiedzieliście się? — spytał niecierpliwie Downar.

— Ładna willa, ogród, taras, owocowe drzewa. Elegancko.

— Karol Wasicki tam mieszka?

— Mieszka. Emeryt. Wczoraj wrócił z Krynicy.

— Sam mieszka?

— Z żoną. Całkiem młoda kobieta. Ładna. Wygląda na jego córkę.

— Czym się zajmuje?

— Tego nie wiem. Nie zdążyłem się dowiedzieć.

— Rozmawialiście z nimi?

Sierżant energicznie potrząsnął głową.

— Nie. Nie chciałem ich płoszyć. Przyjrzałem im się tylko z daleka, obszedłem dom, pogadałem z sąsiadami, to z tym, to z tamtym, ot tak sobie, że to niby nic mnie specjalnie nie obchodzi.

— Bardzo dobrze — pochwalił go Downar. — A sąsiedzi nie dziwili się, że tak się interesujecie Wasickimi?

— Co się mieli dziwić? Udawałem hydraulika, a teraz hydraulika każdy wita jak rodzzonego brata, nawet i serdeczniej. W jednym mieszkaniu to mnie koniakiem poczęstowali, żebym im tylko nowe pakunki założył. Kapało ze wszystkich kranów. Mówili, że spać nie mogą. Tak ich to denerwowało.

Downar uśmiechnął się.

— Znacie się na tej robocie?

— Iiii... A skądże miałbym się znać. Pakunek wymienić umiem i przepchać umywalkę także. Nie taka filozofia. A zresztą ci młodzi hydraulicy także niewiele więcej umieją. Jak się trafi jakiś stary fachowiec, to jeszcze — ale te chłopaki... Tylko patrz, gdzie by parę złotych na piwo wykombinować.

— Mam dla was bojowe zadanie — powiedział Downar.

— Tak jest, obywatelu majorze. Słucham.

— Razem z Pakułą dobierzecie sobie do pomocy jeszcze dwóch albo nawet trzech ludzi, takich chłopaków z pomysłu, i będziecie obserwować willę w Leśnej Podkowie dzień i noc. Może uda wam się wynajść w sąsiedztwie jakiś pokój. Zamieszkałby w nim Pakuła w charakterze letnika. Wy w dalszym ciągu występujecie jako hydraulik. To dobry kamuflaż. Chciałbym być na bieżąco informowany o każdym kroku Wasickiego i jego żony. Dostaniecie nadajnik. Czy Wosiccy mają wóz?

— Mają Fiata 125.

— Wy także musicie mieć wóz. Przydzielimy wam. Ale, żeby nie zwrócili na niego uwagi, będziemy go codziennie zmieniać. Czy wszystko zrozumiałe?

— Tak jest.

— W porządku. Oczywiście nikomu ani słowa, nawet rodzonemu ojcu.

Powierzam wam ściśle tajną misję. Aha, jeszcze jedna sprawa. Powiedzcie Pakule, że z nazwiskiem Wasickiego związane jest nazwisko: Hans Glosietz. Ciągłe nie wiem, o co tu chodzi. Albo to jest jeden i ten sam człowiek, albo może Glostetz mieszkał kiedyś u Wasickiego czy też Wasicki u Glostetza.

— Rozumiem. Czy mogę się odmeldować?

— Tak. Miejcie oczy i uszy otwarte na wszystko, co się dzieje w Leśnej Podkowie.

Olszewski wrócił z Gdańska. Nie wyglądał na zachwyconego podróżą.

— No i co? — spytał Downar. Porucznik skrzywił się.

— No i nic. Adres się zgadza. Henryk Krauzer rzeczywiście mieszka w Gdańsku. Pracuje w Polskich Liniach Oceanicznych.

— Rozmawiałeś z nim?

— Właśnie, że nie. Wyjechał na urlop.

- Dokąd?'
- Nikt nie wie. Nie zostawił adresu.
- Kiedy wyjechał?
- Przed całą aferą.
- To znaczy, że może ten ryży z hotelu „Forum”, Emil Steinberg, nie zdążył go ostrzec. Sprawdziliśmy Steinberga. Przyjechał z Berlina Zachodniego i przeprowadzał rzekomo jakieś rozmowy w sprawach handlowych. Kamuflaż oczywiście. Zlikwidował się z terenu natychmiast po historii z walizką. Na drugi dzień już go nic było.
- Bał się, że go zidentyfikuje tamten złodziej.
- Jasne.
- Szkoda — westchnął Olszewski. — To był jedyny konkretny punkt zaczepienia.
- Downar uśmiechnął się.
- Przypuszczam, że facet także tak rozumował. W tej chwili obstawiłem Wasickiego. Może coś z tego wyniknie.
- A właśnie. Co z Wasickim? — zainteresował się Olszewski.
- Żyje sobie spokojnie w Leśnej Podkowie razem z młodą i podobno ładną żoną.
- Widziałeś ich?
- Nie. Referował mi Kazio Kopacz. Olszewski podrapał się za uchem.
- Jeżeli Wasicki siedzi spokojnie w Leśnej Podkowie i wcale się nie denerwuje, to znaczy, że nic dostał żadnego cynku od tego Niemca z Berlina.
- Wygląda na to, że nie — przytaknął Downar. — Zresztą nie możemy przecież mieć pewności, że Steinberg znał nazwiska wyszczególnione w wykazie. Bardzo prawdopodobne, że miał za zadanie tylko zdobycie protezy.
- Dlaczego, u diabła, schowali to w protezie? — powiedział Olszewski.
- Prawdopodobnie dlatego, że listą miał się zająć jakiś kulawy.
- Gdzież teraz szukać tego kulawego?
- Ba — uśmiechnął się Downar. — Bardzo chciałbym to wiedzieć. Ciekawe, ilu ludzi w Polsce może nosić tego typu protezę?

Rozdział V

Sierżant Kopacz, zmęczony wielogodzinną wędrówką po Leśnej Podkowie, usiadł na murku w pobliżu willi państwa Wasickich, położył koło siebie torbę z narzędziami, otarł spocone czoło i zabrał się do studiowania wartościowej broszury, noszącej tytuł „Przyjaciel młodego hydraulika”.

Było ciepło, słońce delikatnie sączyło promienie poprzez gęstą zieleń drzew, muchy brzęczały leniwie. Sierżant Kopacz czuł ogarniającą go senność, z którą trudno walczyć. Nawet pouczająca lektura nie była w stanie go otrzeźwić. Zaczął właśnie zastanawiać się bardzo poważnie nad tym, czyby nie zmienić pozycji, lokując się wygodniej na trawie, gdy nagle...

W ciszę letniego popołudnia wdarł się przeraźliwy krzyk:

— Ratunku! Pomocy! Ratunku! Sierżant Kopacz skoczył na równe nogi, porwał torbę i popędził w kierunku, skąd dochodził rozpaczliwy kobiecy głos. To była właśnie willa Wasickich.

Młoda kobieta w różowym szlafrocuku stała na ganku i wzywała pomocy.

— Co się stało?! — zawołał Kopacz, wpadając do ogrodu.

— Woda! Woda zalewa mieszkanie!

Alarm bynajmniej nic okazał się fałszywy. Z pękniętej rury woda rzeczywiście waliła bystrym strumieniem, wydostając się już 'nawet na ganek. Sytuacja była groźna.

Sierżant Kopacz nic stracił głowy. Na tyle zbadał już tajniki wiedzy hydraulicznej, że orientował się, co trzeba zakręcić, żeby przerwać dopływ wody. Zakręcił.

— W porządeczku — powiedział z wesołym uśmiechem. — Już nie leci.

Pani Wasicka odetchnęła z widoczną ulgą.

— Dziękuję panu. Strasznie się przestraszyłam. Męża nie ma. Właśnie chciałam się wykapać, kiedy... Pan się na tym zna. Pan jest hydraulikiem?

Kazio obciągnął na sobie roboczy kombinezon.

— Poniekąd.

— Co za szczęście, że był pan akurat w pobliżu.

Tymczasem, zaalarmowani krzykiem, zbiegli się najbliżsi sąsiedzi, a wśród nich sierżant Pakuła, który od niejakiego czasu występował w charakterze letnika, wynajmującego pokój w pobliskim domu.

— Co ja teraz zrobię? — powiedziała smętnie pani Wasicka, rozglądając się po zalanym mieszkaniu.

— Trzeba sprzątnąć — zdecydował Kopacz. — Pomogę pani. Ma pani jakieś wiadro albo chociaż duży garnek? Musimy zebrać tę wodę.

Gapie rozeszli się, widząc, że nic ma nadziei na dalsze sensacje. W zalanym mieszkaniu pozostali tylko Kopacz i Pakuła, który skwapliwie zaofiarował pomoc pięknej sąsiadce.

Energicznie zabrali się do odwadniania willi. Ściślej mówiąc solidnie pracowali Kopacz i pani Wasicka, która zmieniła różowy szlafroczek na dzinsy i sweterek. Pakuła natomiast raczej symulował. Niezbyt interesował się wodą i machał ścierką tylko tyle, ile to. było niezbędne dla zachowania pozorów. Postanowił skorzystać z niezwyklej okazji i możliwie dokładnie rozejrzeć się po mieszkaniu, z zachowaniem oczywiście jak najdalej posuniętej ostrożności

W wyniku tego „rozglądania się” stary cwaniak na drugi dzień z samego rana zameldował się u majora.

— No i co tam słyhać? — spytał wesoło Downar. — Jak wam służy powietrze w Leśnej Podkowie?

— Powietrze balsam, aksamit można powiedzieć. Całkiem inaczej człowiek od-
dycha. Podoba mi się tak być za letnika. Nawet sobie psa pożyczyłem od szwagra, żeby poważniej wyglądać. Starszy gość z pieskiem na spacerze robi dobre wrażenie.

— Wyniuchaliście coś?

Sierżant ze smutną miną pokręcił głową.

— Prawdę mówiąc nie tak wiele i gdyby nie ta powódź...

— Jaka znowu powódź? — zdumiał się Downar.

— Rura nawaliła w willi Wasickich. Kobieta narobiła krzyku. Przyleciał Kazik Kopacz, że to niby fachowiec hydraulik. Wodę zamknął, potem i ja przygnałem, zaczęliśmy sprzątać, to znaczy oni sprzątali, a ja patrzyłem po kątach.

— No i co wypatrzyliście?

— Widziałem but z lewej nogi, w szafie, brązowy. Pasuje do lego, który był na protezie. Ten sam rozmiar, ta sama niska cholewka. Od pary.

— Zelowany?

— Nie. Nowa podeszwa. Obcas także nie ścięty. W ogóle nowy but.

— I uważacie, że to od tamtego?

— Ma się rozumieć. Założyłbym się.

— I coście tam jeszcze wypatrzyli?

— Kiedy oni zbierali wodę w hallu, rzuciłem okiem na kalendarz terminowy, który leżał na biurku. Taki nieduży, w plastikowej okładce. Nie wiem, czy to może mieć jakieś znaczenie, ale pod czwartym lipca było zanotowane ołówkiem „Moskwa godz. 20”.

Downar odruchowo spojrział na swój kalendarz.

- To znaczy jutro.

— Tak jest. Trochę mnie to zastanowiło, bo chyba chodzi o kino „Moskwa”.

— Chyba tak. Przecież nie o miasto.

— Otóż to — ciągnął dalej swe rozważania Pakuła. — Wydało mi się to dziwne. Bo kto w terminarzu zapisuje, że ma iść do kina? Mnie by tam nigdy taka rzecz do głowy nie przyszła. Chcę iść do kina, to kupuję bilet w przedsprzedaży w „Bajce” albo tego samego dnia z rana i idę. Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, żebym zapisywał w terminarzu.

— Może skleroza — mruknął Downar. Pakuła zachnął się.

— Jaka tam skleroza, obywatelu majorze. Gość nie pierwszej młodości, fakt, ale jeszcze żwawy, niejednego młodziaka by przeskoczył. Robi na mnie wrażenie bystrzaka. To żaden ramol. Zresztą przy takiej żonie musi się trzymać.

Dziewczyna jak róża. Coś mi się widzi, że Kaziowi Kopaczowi mocno w oko wpadła.

Downar zaniepokoił się.

— Żeby nie za bardzo.

— Spokojna głowa, obywatelu majorze. Kazio nie z takich, których łatwo zabajtlować. Podobać mu się może, ale głupstwa żadnego nie robi. Służbista. A jakby mu się udało tak trochę z panią Wasicką pogruchać, to pewnie nie byłoby źle. Od kobiety zawsze łatwiej się czegoś ciekawego dowiedzieć niż od mężczyzny. A Kazio może się podobać. Kawał chłopca, muskularny, wysportowany. Widziałem go kiedyś, jak trenował boks. Piękna forma. Mógłby jechać na olimpiadę.

Downar jednym uchem słuchał tego, co mówił sierżant. Myśli jego krążyły wokół kina „Moskwa”. Po chwili strzelił palcami i powiedział:

— Słuchajcie, Pakuła, być może, że notatka w terminarzu nie ma żadnego znaczenia, ale w tej sytuacji nie wolno nam niczego zaniedbać. Jeżeli but, który widzieliście, był rzeczywiście jednym z tych, które reperował stary Kopacz, to nasuwa się wniosek, że ów nieszczęsny Romcio został zastrzelony w willi Wasickich. W tym czasie Wasiccy podobno byli w Krynicy. Nie wiadomo jednak, czy ktoś w ich willi nie mieszkał. Spróbujcie to ustalić, chociaż zdaje sobie sprawę, że to nie będzie łatwe. A wracając do kwestii kina to chyba zrobimy tak... A propos... macie zdjęcia Wasickiego?

— Oczywiście. Z tyłu, z przodu, z boku, w różnych pozach.

— Nie spostrzegł się?

— Skąd. Fachowa robota. I Teleobiektyw. I jej zdjęcia także mam.

— Dobrze. Dajcie.

Sierżant wyjął z kieszeni wypchaną kopertę i położył ją na biurku.

— Fotogeniczny gość — powiedział z uznaniem. — Pierwsza klasa wychodzi na zdjęciach.

Downar obejrzał fotografie i z zadowoleniem pokiwał głową.

— W porządku. Jutro miejcie ich dom pod obserwacją, tak zresztą jak zawsze. Z tym wszakże, że będziecie mnie informowali o tym, czy Wasicki jest w domu i czy wyjeżdża. Jeżeli na ósmą umówił się z kimś w kinie, to około siódmej powinien wyjechać z Podkowy. Natychmiast dajcie mi znać. Będę czekał w komendzie. W ogóle jutro przez cały dzień nie ruszam się z komendy. Kopacz prowadzi wóz?

— Prowadzi.

— To dobrze. Niech zrezygnuje z ubrania hydrauliczkiego i jedzie ostrożnie za Wasickim. Powiedzcie mu, żeby się ulokował przed kinem „Moskwa”. Ja pójdę na ósmą, ale nie możemy wykluczyć, że Wasicki nie dosiedzi do końca seansu i albo sam, albo w towarzystwie wyjdzie wcześniej. W takim wypadku niech Kopacz jedzie za nimi i dowie się, dokąd pojechali. Na wszelki wypadek niech weźmie broń.

— A może ja bym z nim pojechał, obywatelu majorze? — zaproponował Pakuła. Downar potrząsnął głową.

— Nie. Wy musicie zostać na czatach w Podkowie. Zresztą Kazio da sobie radę. To sprytny chłopak.

— A jeżeli oboje pojedą do kina?

— Nic nie szkodzi. Willa musi być pod stałą obserwacją.

— Mamy tam przecież jeszcze dwóch naszych chłopaków, Strzelczyka i Łukasiaka.

— Niedoświadczony żółtodzioby. Dobrzy jako siła pomocnicza.

— Szkoda — westchnął sierżant. — Chętnie wybrałbym się jutro do „Moskwy!”. Zdaje się, że nawet dają jakiś niezły film. Czy to już wszystko, towarzyszu majorze?

— Tak. Wracajcie do Podkowy,
Zaraz po wyjściu Pakuły zadzwonił telefon.

— Wpadnij do mnie na chwilę.
Pułkownik Leśniewski był wyraźnie podekscytowany. Chodził po pokoju, palił jednego papierosa za drugim, nerwowym ruchem przeczesywał szpakowatą czuprynę.

— Siadaj, Stefan. Porozumiewałeś się już ze Stasiakiem?

— Nie. A bo co?

— -Miał do ciebie dzwonić. Musisz z nim jak najszybciej pogadać, uzgodnić.

— To może oni w ogóle chcą przejąć sprawę? — ucieszył się Downar.
Leśniewski potrząsnął głową.

— Tak dobrze nie ma. Chcą współpracować.

— To znaczy, że my zrobimy całą robotę, a oni zainkasują sławę i chwałę. Ale mówiąc poważnie to rzeczywiście im podpada?

— A ty miałeś jakieś wątpliwości? Downar wzruszył ramionami.

— No cóż... Uważałem, że bardzo prawdopodobne, chociaż... chociaż mogłaby to być równie dobrze afera gangsterska.

— To nic jest afera gangsterska. Zastukano do drzwi. Wszedł Stasiak. Chłop był potężny. Można go było wziąć za zapaśnika ciężkiej wagi.

— Właśnie o tobie mówimy — ucieszył się Leśniewski. — Świetnie, że przyszedłeś.

Downar serdecznie wyściskał przyjaciela.

., — Kopę lat. Kawał czasu cię nie widziałem. Pokaż się, jak wyglądasz. Coś mi się, Jasiu, zdaje, że przytyłeś.

Stasiak skrzywił się i odruchowo dotknął wystającego brzucha.

— Mnie też się tak zdaje. Niestety. A wadze to się nawet nie zdaje. No cóż... apetyt jak za-dawnych młodych lat, a przemiana materii już nie ta sama. Poza tym ruchu mało. Siedzący tryb życia. Odkąd mnie zrobili pułkownikiem, siedzę za biurkiem i urzęduję... Trzeba by trochę polatać.

— Choćby za dwiema lewymi nogami — uśmiechnął się Leśniewski

— O, właśnie — podchwycił Stasiak. — Po to tu przyszedłem. Musimy pogadać. Leśniewski wsunął papiery do szuflady i zamknął biurko.

— Nie gniewajcie się, kochani, ale zostawiam was samych. Konferencja. Jak chcecie, to porozmawiajcie sobie w moim gabinecie.

Ale Downar nie skorzystał z zaproszenia i zaprowadził Stasiaka do swojego pokoju.

— Siadaj, Jasiu. Dostaniesz kawy. Nie skrzywdzę cię.

— Więc co sądzisz o dwóch lewych nogach? — spytał Stasiak, sadowiąc się w fotelu, który z trudem zdołał pomieścić jego imponujące kształty.

Downar rozłożył ręce.

—Paskudna sprawa. Dwa trupy, a nie można mieć żadnej pewności, że nie będzie trzeciego. Wydałem polecenie, żeby nasi ludzie, biorący udział w tej akcji, nosili broń.

— Tak — pokiwał głową Stasiak. — Mamy do czynienia z oprychami, którzy z ogromną łatwością posługują się pistoletem. Zdobyłem trochę interesujących wiadomości dla ciebie, Stefanku.

Downar bliżej przysunął krzesło.

— Zamieniam się w słuch.

— Zaczniemy od kobiety, która została zastrzelona w wozie.

— Pani Vauban.

— Tak. To pseudonim oczywiście. Naprawdę nazywała się Emma von Schellendorf. Pracowała dla kontrwywiadu RFN.

— Zwróciliście się do nich? Stasiak uśmiechnął się.

— Raczej oni zwrócili się do nas. Zresztą to nie ma w tej chwili większego znaczenia. Tak czy inaczej porozumieliśmy się.

— Czy przyjechała na nasz teren z jakimś konkretnym zadaniem?

— Oczywiście. Od dłuższego czasu rozpracowywała międzynarodową siatkę organizacji terrorystycznej. Musiała popełnić jakiś błąd i kropnęli ją.

— I co dalej? — spytał Downar. — Miałbyś ochotę przejąć ode mnie tę sprawę?

— Ale skąd — zaproponował energicznie Stasiak. — Ani mi to w głowie. Masz dwa morderstwa, które się zapewne jakoś ze sobą łączą. Sprawa kryminalna. Twój resort. A ja ewentualnie jako współpraca.

— Wygodny jesteś — uśmiechnął się Downar i dolał kawy do filiżanek. — Widziałeś oczywiście tę listę?

— Tak. Widziałem. Wiem także, że obstawiłeś Wasickiego.

— Właśnie w tej sprawie idę jutro do kina.

— Do kina?

Downar opowiedział o pęknięciu rury w Leśnej Podkowie i o odkryciu sierżanta Pakuły.

Stasiak niespecjalnie się tym zainteresował.

— Może coś z tego wyniknąć, ale raczej wątpię.

— Ja także nie przywiązuję większej wagi do tego — zgodził się Downar. — Uważam jednak, że nie wolno nam niczego zaniedbać. A co myślisz o tym facecie z Gdańska?

— Mówisz o Krauzerze? — Tak.

— Już od pewnego czasu mamy go pod obserwacją. Niewyraźny typ. Właściwie nic konkretnego, ale... Wiesz, jak to bywa. Niby nie ma się do czego przyczepić, a jednak coś trochę jakby...

— Śmierdzi — podpowiedział Downar.

— O, właśnie — ucieszył się Stasiak. — Bardzo trafne określenie. Śmierdzi. I teraz się okazuje, że człowieczek został wciągnięty na tę listę.

— Nie wiesz przypadkiem, co się z nim w tej chwili dzieje?

— Wiem. Siedzi w Ciechocinku. Kąpie się w błocie. Reumatyzm.

Prawdopodobnie jeszcze z czasów wojny.

— Sądzisz, że służył w niemieckim wojsku?

Stasiak przytaknął.

— Jestem prawie pewien. Głowy oczywiście nie dam, ale bardzo mi on wygląda na marynarke wojenną. Może łodzie podwodne.

— Papiery w porządku?

— Jasne. Wszystko ma w najlepszym porządku. Jest cenionym pracownikiem biura turystycznego. Są z niego bardzo zadowoleni. Posiada dużo fachowych wiadomości, aż za dużo. Kiedyś przy wódce zaczął opowiadać o łodziach podwodnych...

— Byłeś przy tym?

— Nie. Był jeden z naszych ludzi.

— Ale jeżeli facet tak spokojnie moczy nogi w Ciechocinku — powiedział w zamyśleniu Downar — to znaczy, że się nie boi, że najprawdopodobniej nic nie wie o tej całej historii z morderstwami, z walizką, z dwiema lewymi nogami.

— Chyba rzeczywiście nic nie wie. Albo ma stalowe nerwy.

Downar potrząsnął głową.

— Stalowe nerwy nic tu nie mają do rzeczy. Gdyby wiedział, że jego nazwisko znajduje się na tamtej liście i że my ją posiadamy...

— Masz rację, Stefanku. Pryskałby. W każdym razie usiłowałby prysnąć.

— Pilnuje go ktoś? — zapytał Downar.

— A jak ty sobie to wyobrażasz? Oczywiście, że go pilnujemy. Dwóch ludzi zakwaterowałem w Ciechocinku.

— Licz się z tym, że facet jak tylko dostanie cynk, natychmiast wyciągnie z walizki fałszywe dokumenty, przyklei sobie brodę i będzie spływał w siną dal.

Stasiak uśmiechnął się.

— Liczę się z tym. Nie spłynie.

— Widocznie nawet jego kumple nie wiedzieli o tym, że jedzie do Ciechocinka

— powiedział Downar.

— Wszystko na to wskazuje. Solidnie się zadekował w borowinie. Powiedz mi, Stefanku, co sądzisz o zamordowaniu tego chłopaka od szewca?

Downar wzruszył ramionami.

— No cóż. Nic pewnego nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Chłopak był głupawy i oczywiście nie zorientował się w porę, że nie trzeba tam się pchać.

— Czy myślisz, że został zastrzelony w willi Wasickiego?

— To bardzo prawdopodobne.

— Ale Wasickiego nie było wtedy w Leśnej Podkowie?

— Nie. Podobno był w Krynicy. Jeszcze to muszę dokładnie sprawdzić.

— To znaczy, że komuś odstąpił na pewien czas swój dom.

— Wszystko na to wskazuje. Stasiak dopił kawę, odstawił daleko od siebie filiżankę i zapalił nowego papierosa.

— Ciekawe, juk się nam cała ta historia rozwinie.

Downar nic zareagował. Siedział milczący i patrzył w okno, za którym błyszczał słońcem pogodny dzień. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

— Widzisz... ciągle się głowię nad tym, co, u diabła, znaczą te dwie lewe nogi, a raczej dwa buty z lewej nogi? Liczę na to, że może ty wpadniesz na jakiś genialny pomysł.

Stasiak uśmiechnął się chytrze.

— A co mi dasz, jak ci spróbuję to wyjaśnić?

— Butelkę gruzińskiego koniaku, nawet tę z czterema gwiazdkami.

— Niebogato — skrzywił się Stasiak. — Ale niech już będzie moja krzywda.

Otóż... wyobraź sobie, że miałem wuja, który stracił nogę w czasie pierwszej wojny światowej. Dostał serię z cekaemu. Kule strzaskały kość. Amputowali mu nogę do kolana. Miał potem oczywiście protezę, ale używał jej bardzo rzadko, raczej od święta. Wolał chodzić o kulach. Mówił, że proteza ciężka, niewygodna...

Downar słuchał z ogromnym zainteresowaniem.

— Czekaj, czekaj... Zaczynam chwytać. To znaczy, że w takiej sytuacji but na zdrowej nodze zdiera się i niszczy o wiele szybciej.

— Oczywiście — przytaknął Stasiak. — Mój wuj nie miał lewej nogi. Chodził na prawej. Robił sobie na obstalunek trzy buty, jeden lewy na protezę i dwa prawe na zdrową nogę. Poza tym przeważnie nosił sznurowane kamasze, a to dlatego, że sznurowana cholewka mocniej trzyma nogę w kostce i pewniej się stąpa.

Downar promieniał.

— Nareszcie zrozumiałem. Jasiu, jesteś genialny. Z nieba mi spadłeś.

— Może niezupełnie z nieba — skorygował Stasiak. — I nie spadłem, tylko przyjechałem Wołgą. Nie chcę cię martwić, Stefanku, ale jeżeli chodzi o twój pomysłuśnek, to coś nie tego... Po prostu za bardzo się odchudziłeś. Narzekasz, że ja przytyłem, ale właśnie przytycie pomaga mi w prawidłowym myśleniu.

— Nie rozumiem. — Downar spojrzał na przyjaciela ubawiony.

— A to proste. Tkanka tłuszczowa chroni przed bodźcami zewnętrznymi system nerwowy, co pozwala na spokojne wysnuwanie logicznych wniosków. Poza tym odpowiednie ilości pożywienia wpływają na należyte ukrwienie mózgu, co znowu sprzyja pracy szarych komórek. Człowiek zaś chudy zżera się nerwowo i zatracą zdolność trzeźwego myślenia.

— Przekonałeś mnie, Jasiu. Od jutra zaczynać jadać podwieczorki w „Hortexie”. Tę pouczającą rozmowę na tematy żywienia przerwało im pukanie do drzwi.

Wszedł porucznik Olszewski.

— Przepraszam. Może przeszkadzam? Downar zaprosił go ruchem ręki.

— Chodź, chodź. Znacie się przecież.

— Oczywiście — powiedział Stasiak, dźwigając się z fotela i wyciągając na powitanie swą potężną dłoń.

— Co nowego, Stachu? — spytał Downar.

Olszewski usiadł i odsapnął.

— Uff... Gorąco. Zmachałem się. Ale wyobraź sobie, że Emil Steinberg do tej pory nie przekroczył naszej granicy.

— Jak to? — zdziwił się Downar. — Przecież w hotelu „Forum” powiedzieli, że miał bilet lotniczy i pojechał na lotnisko.

— Pojechał na lotnisko, ale nie odleciał. W każdym razie nie pod tym nazwiskiem.

— Spodziewałem się tego — mruknął Stasiak.

Downar był wyraźnie zdenerwowany.

— To znaczy, że prawdopodobnie znajduje się jeszcze na naszym terenie. Trzeba by go jak najszybciej... Ale dlaczego nie odleciał?

Stasiak wzruszył ramionami.

— Albo bał się, że go przyskrzynimy, albo miał tu jeszcze coś do załatwienia. Musimy się także liczyć z ewentualnością, że posługuje się drugim paszportem na inne nazwisko i że umie się dobrze charakteryzować.

Downar skrzywił się sceptycznie.

— Nie wygląda mi na takiego znakomitego fachowca. To wyręczanie się złodziejem hotelowym trochę robi na mnie wrażenie amatorszczyzny. Znasz sprawę, prawda?

— Oczywiście — pokiwał głową Stasiak. — Opowiadał mi Leśniewski. Ale nie zgadzam się z tobą, żeby wynajęcie złodzieja wskazywało na dyletanta. W tej sytuacji to było właściwie dla niego jedyne rozsądne wyjście. Sam nie chciał ryzykować. Nie mógł mieć przecież pewności, że pokój pani Vauban nie znajduje się pod naszą obserwacją. Jeśliby kradzież walizki się udała, to w porządku, w przeciwnym razie miał zamiar natychmiast likwidować się z terenu, co też uczynił.

— Skąd ta walizka w pokoju Vauban? — wtrącił się do rozmowy Olszewski. — Zeznała, że jakiś elegancki jegomość u niej ją zostawił, ale prawdę mówiąc ja w to nie bardzo wierzę.

— Ja też nie — mruknął Stasiak. Downar się z nimi zgodził.

— I do tego proteza w walizce — zastanawiał się dalej Olszewski — Dlaczego w walizce?

Stasiak nagle się ożywił.

— Czy moglibyście mi pokazać tę walizkę i protezę?

— Oczywiście — Downar podszedł do pancерnej szafy i wyjął z niej skórzaną walizkę. — Służę ci. To jeden z naszych materiałów dowodowych.

Stasiak obejrzał ją uważnie, a następnie zajął się protezą,

— Zepsuta — powiedział po chwili, — Facet nie mógł jej przyczepić do nogi. Przyjrzyjcie się tym paskom. Klamra urwana.

— Rzeczywiście — przyznał Olszewski. — To nam nie przyszło na myśl.

Stasiak uśmiechnął się.

— A szkoda. Macie wytłumaczenie, dlaczego proteza znajdowała się w walizce. Teraz tylko należałoby odpowiedzieć na pierwsze pytanie: w jaki sposób walizka trafiła do Vauban?

Downar wstał i przeszedł się po pokoju.

— Nie wierzę, żeby ktoś z nią współpracował i wstawił do jej pokoju walizkę. W tej sytuacji już byśmy coś wiedzieli o tym współpracowniku. Ta Vauban sama musiała ją zdobyć.

, — Ale w jaki sposób? — zaszepcił się Olszewski

— Jak wiadomo, różne są sposoby zdobywania cudzej własności. Między innymi można na przykład ukraść komuś kwit z przechowalni bagażu i zupełnie spokojnie odebrać walizkę.

— To jest prawdopodobne — przytaknął Stasiak. — Ale w takim wypadku ta kobieta musiałaby nawiązać kontakt z beznogim. Czy sądzisz, że u szewca była właśnie pani Vauban, czyli Emma von Schellendorf?

— Na moje wyczucie chyba tak. Wprawdzie z Leśnej Podkowy na Mokotów to kawałek drogi, ale wozem...

— Ucharakteryzowała się — zauważył Olszewski. — Po odbiór butów przyszła zabandażowana. Ja bym dłużej nie czekał, tylko zatrzymałbym Wasickiego i przeprowadził dokładną rewizję w ich domu. Musiałby się jakoś wytłumaczyć, dlaczego znalazł się na tej liście.

Downar energicznie potrząsnął głową.

— Na to zawsze jest czas. Zatrzymanie Wasickiego całkowicie nas zdemaskuje. W tej chwili oni się zupełnie nie orientują, czy my coś wiemy o całej sprawie, czy nie. Być może, że Wasicki trochę się zdenerwował, ale teraz powoli się uspokaja i to nam może ułatwić robotę.

— Nie wiedzą przecież, czy rozmontowaliśmy protezę — dorzucił Stasiak. — Jak również nie mamy żadnej pewności. Ze są poinformowani o tym, czyje nazwiska znajdują się na liście.

— Właśnie — podjął Downar. — Bardzo prawdopodobne, że w ogóle niewiele wiedzą, poza tym oczywiście, że złodziej wyniósł walizkę z pokoju pani Vauban, że został schwytyany i że siedzi.

— Nie zapominaj, że Vauban była tutaj u nas przesłuchiwana — zauważył Olszewski.

Downar pokiwał głową.

— Obawiam się, że to przesłuchanie nie wyszło jej na zdrowie.

— Tak czy inaczej dopadliby ją — powiedział z przekonaniem Stasiak. — Możecie sobie nie robić wyrzutów. A o tej walizce musieliście przecież porozmawiać. Ciekaw jestem, jaki to film dają w „Moskwie”.

— Oby tylko niezbyt interesujący — uśmiechnął się Downar.

Rozdział VI

Bardzo często człowiek pragnie uchodzić za innego, niż jest w istocie. Sztuka udawania to chyba jedna z najstarszych sztuk rodu ludzkiego. Nie mówi się oczywiście o zawodowych aktorach teatralnych, filmowych czy telewizyjnych. Poza jednak tymi profesjonalnymi „udawaczami” ogromna większość ludzi usiłuje, ze zmiennym szczęściem, odgrywać jakąś komedię, ukazać się w swym

środkowi w specjalnym świetle, w którym jego osobowość nabrała by niezwykłych walorów. Motywem takiego działania jest przeważnie snobizm. Chociaż czasami może to być udawanie służbowe.

Sierżant Kopacz okazał się mistrzem charakteryzacji. Sprokurował sobie długowłosą perukę, która spływała spod ochronnego kasku, włożył bogato połataną dzinsy, do tego fioletową koszulę w żółto-czerwone ciapki oraz potężne przeciwsłoneczne okulary. Po pewnym namyśle przykleił sobie efektowne wąsy oraz baki a la księżę Józef Poniatowski. Nikt by w tym zmotoryzowanym hippisie nie rozpoznał zasłużonego funkcjonariusza MO.

Początkowo wszystko przebiegało według przewidzianego i ustalonego planu. Kazio Kopacz ulokował się wraz z motorem w krzakach za willą Wasickich i czekał. Doszedł do wniosku, i słusznie, że motocykl bardziej nadaje się do tego rodzaju akcji aniżeli samochód.

O godzinie 18.55 Wasicki wyprowadził wóz z garażu, pogrzebał coś w motorze, sprawdził opony, nalał z kanistra benzyny do baku, przetaił szyby i usiadł za kierownicą. Następnie rozejrzał się, włączył bieg i ruszył. A Kazio za nim. Na szosie szary Fiat zwiększył trochę szybkość, ale nie przesadnie. Motocyklista w pstrej koszulce posuwał się konsekwentnie w ślad za nim. Na szczęście ruch był dosyć duży i nie sprawiały większych trudności manewry kamuflujące pościg.

Tak dojechali do Warszawy, a tutaj już z ogromną łatwością można się było zgubić w morzu pojazdów, nie tracąc z oczu „zwierzyny”. Parę razy sierżant Kopacz, zatrzymując się przed czerwonym światłem, napotykał niechętnie spojrzenia milicjantów, którzy krzywili się z obrzydzeniem na widok długowłosego motocyklisty.

Dobrze, że wziąłem ze sobą legitymację służbową — myślał ubawiony. — Bo w razie czego...

Otuchą napawał go również pistolet tkwiący pod lewą pachą. Sicher ist sicher, czyli strzeżonego pan Bóg strzeże.

Wasicki zaparkował wóz przed kinem „Moskwa”. Nic nie wskazywało na to, aby się domyślał, że jest śledzony. Poruszał się swobodnie, z całkowitym spokojem. Kazio Kopacz nie bez pewnego podziwu obserwował smukłą, elegancką sylwetkę starszego pana. Rozglądając się bacznie dokoła, spostrzegł Downara stojącego już za szklanymi drzwiami, niedaleko kasy. Major także nosił przeciwsłoneczne okulary.

Wasicki wszedł do kina, chociaż było jeszcze dosyć wcześnie. Za nim podążył Downar, biorąc pod rękę jakąś postawną blondynę, nie znaną Kopaczowi.

W parę minut potem przed kino zajechał czarny Cadillac, z którego wysiadł człowiek, opierający się na kulach. Nie miał prawej nogi.

Kazio podbiegł błyskawicznie, schylił się i podniósł z ziemi gazetę, którą sam upuścił.

— Upadła panu gazeta.

Beznogi mężczyzna odwrócił się i z wyrazem nie ukrywanej niechęci spojrzął na młodego człowieka w połatanych dzinsach.

— Nie moja — burknął i poszedł dalej.

Ta jedna chwila wystarczyła, aby sierżant Kopacz spostrzegł, że but był brązowy i że miał niską cholewkę.

Może to faktycznie ten facet — pomyślał podekscytowany — przyjechał, żeby się spotkać z Wasickim? — I zaraz pojawiła się inna myśl: — W jaki sposób człowiek z jedną nogą może prowadzić wóz?

Odczekał, aż tamten wejdzie do kina i podszedł do Cadillaca. Sprawa od razu się wyjaśniła. Dwa pedały. Bez sprzęgła. Automatyczne przerzucanie biegów.

Co dalej? Trzeba siedzieć do końca seansu. Taki był rozkaz. Sierżant Kopacz uzbroił się w cierpliwość i postanowił nie myśleć o tym, że to całe dwie godziny, a kto wie czy nawet nic dłużej.

Jednakże jakieś pół godziny przed końcem projekcji beznogi wyszedł z kina i skierował się do swojego, wozu. Poruszał się wyjątkowo żwawo i sprężysto. Robiło to takie wrażenie, że opierając się na kulach chodzi szybciej, niż gdyby miał obydwie nogi

Kazio rozejrzał się. Nigdzie nie było ani Downara, ani Wasickiego. Co robić? Tamten już zapuszcza motor. Trzeba za nim jechać.

I znowu chytra, ostrożna jazda tym razem za czarnym Cadillakiem. Beznogi prowadził wóz szybko i bardzo pewnie. Był świetnym kierowcą.

Żeby tak podpadł patrolowi drogowemu — myślał Kopacz, dodając gazu. — Jak nie trzeba, to co parę metrów stoją, a jak trzeba, to ani śladu.

Wypadli na szosę. Cadillac zwiększył szybkość. Kazio oczywiście także. Miał dobry motor i nie bał się, że tamten mu ucieknie. Niebezpieczeństwo było inne. Na szosie dużo trudniej jechać za kimś, nie zwracając uwagi. Zwolnił więc, ale jednonogi jeszcze nacisnął pedał i Cadillac zaczął gwałtownie się oddalać. To stawało się niebezpieczne. Trzeba było znowu zwiększyć szybkość.

Sierżant Kopacz popadł w duchową rozterkę. Nie bardzo wiedział, co robić? Na szosie było teraz mniej pojazdów i uparty motocyklista stawał się coraz bardziej podejrzany. Nie mógł jednak zaniechać pościgu. Zdawał sobie doskonale sprawę, że może to jedyna szansa, że taka okazja pewno się już nigdy nie powtórzy. Nie miał oczywiście pewności, czy jednonogi ma coś wspólnego z Wasickim, ale wszystko wskazywało na jakieś ich powiązania, a przede wszystkim ta lewa noga i ten but. Przecież ojciec mówił o takich właśnie butach. Za wszelką cenę trzeba było się dowiedzieć, dokąd facet jedzie.

Minęli Nasielsk, Pułtusk, Maków Mazowiecki i skręcili w kierunku Ciechanowa. Gdzież ten sukinsyn jedzie, do jasnej cholery? — myślał zrozpaczony Kopacz.

— Niechże go wszyscy diabli.

Zaczynał tracić poczucie czasu i kierunku. Na domiar złego zegarek odmówił posłuszeństwa i przestał działać o godzinie dwudziestej pierwszej.

Gdzieś pomiędzy Mławą a Działdowem czarny Cadillac skręcił w boczną leśną drogę. Noc była bezksiężycowa, ale pogodna i gwieździsta. Sierżant Kopacz

zgasił światło i ostrożnie, zmniejszając szybkość, jechał z nadzieją w sercu, że ta szaleńcza gonitwa niebawem się skończy. I rzeczywiście...

Na małej leśnej polance stał kempingowy domek ogrodzony siatką. Wysokie malwy pełniły straż pod oknami

Beznogi zatrzymał wóz przed furtką, wysiadł i energicznie ruszył w kierunku domku. W jednym oknie migotało słabe, żółtawe światło.

Sierżant Kopacz wyjął z kabury pistolet, odbezpieczył, odczekał, aż tamten wejdzie do domu i w kilku skokach dopadł okna. O mało nie krzyknął z wrażenia. Na środku pokoju stał Emil Steinberg i witał się z jednonogim.

W tym momencie coś twardego oparło się o plecy Kopacza, a czyjś schrypnięty głos powiedział:

— Ręce do góry.

Fotem już tylko potężne uderzenie w tył głowy, przejmujący ból i ciemność.

Szum, nieznośny szum w głowie. Co się stało? Co się stało? Język jak kawał drewna, smak krwi na wargach. Ciemno.

Powoli, bardzo powoli wracała świadomość. Próbował poruszyć najpierw jedną ręką, potem drugą. Nie był związany. Dlaczego tak ciemno? Szeroko otworzył oczy, ale nic nie widział. Czyżby oślepl? Ta myśl napęliła go przerażeniem.

Wszystko, byle nie to. Jezus Maria! Wszystko, byle nie to!

Było zimno, wilgotny, smrodliwy chłód. Coś obok pisnęło i jakiś kosmaty kształt dotknął dłoni. Szczur.

Sierżant Kopacz zerwał się i zaczął macać wokół siebie mokre ściany. Piwnica.

Więc nie oślepl. Po prostu siedzi w piwnicy bez okna. Co za szczęście, że szczury nie wyjadły mu oczu, kiedy był nieprzytomny.

Młody, silny organizm szybko się regenerował po niedawnym wstrząsie. Ból głowy jeszcze pozostał, ale myśli już były coraz jaśniejsze, chociaż niezbyt wesołe.

Żeby tak się dać zaskoczyć jak skończony idiota. I to mając pistolet w garści. Do jasnej cholery. Przecież można się było spodziewać, że postarali się o obstawę.

Kto wie, czy kulawy nie ściągnął go tu na wabia. Bardzo możliwe, że przez cały czas doskonale się orientował, kto za nim jedzie. Parszywa sprawa.

Sierżant Kopacz nie należał do ludzi, którzy łatwo się załamują. Przekonawszy się, że ręce i nogi funkcjonują prawidłowo, a i głowa zaczyna jako-tako pracować, postanowił działać. Przyszły mu na myśl analogiczne sytuacje,

opisywane w różnych powieściach, a przede wszystkim przypomniał sobie pana Zagłobę. Ba! Ale pan Zagłoba był związany w kij do swojej szabli i po

uwolnieniu się z pęt miał broń w rękę, a prócz tego dysponował dodatkowym metrażem, to znaczy strychem nad chlewikiem, do którego wrzucili go

Bohunowi mołojcy. I to nie wiadomo, jak by się skończyła jego przygoda, gdyby nie przybył na odsiecz pan Wołodyjowski. A tutaj co? Ani szabli, ani strychu, a o panu Michale nie ma nawet co marzyć. Nie przybędzie w sukurs. Już nie te czasy.

Sierżant Kopacz dokładnie zbadał swoje lokum. Powierzchnia mniej więcej dwa metry na trzy, żadnego okna, a drzwi solidne, okute. Nie dadzą się wyważyć. Nawet nie próbował. Nie miał zwyczaju na próżno tracić sił.

Chyba mi tak od razu w łeb nie strzelą — myślał frasobliwie. — Gdyby mieli taki zamiar, to już by go zrealizowali. Widocznie chcą pogadać. Ano zobaczymy, co będzie dalej.

Nie mylił się w swoich przypuszczeniach. Po upływie dwóch, a może trzech godzin, które spędził na walce z przesadnie natrętnym szczurem, posłyszał czyjeś ciężkie kroki i zgrzytnął klucz w zamku'.

Po chwili ostre światło latarki oślepiło więźnia. Do piwnicy weszło dwóch ludzi. Jeden z nich, ten z latarką, uzbrojony był w pistolet. Drugi związał Kopaczowi ręce na plecach solidnym sznurem. Sierżant nie stawiał oporu. Nie było sensu. W tej chwili przypomniały mu się słowa ojca: „Bój się Boga, Kaziu, nie idź na milicjanta”.

Poprowadzili go piwnicznym korytarzem, a potem w górę kamiennymi schodami. Po chwili znaleźli się w dosyć dużym, bardzo skromnie urządzonej pokoju. Stół, kilka krzeseł, szafa, szeroka ława, a na niej jakieś dziwne przyrządy, przywodzące na pamięć średniowieczne sale tortur. Ściany zupełnie nagie. Okna dwa, umieszczone wysoko, zakratowane. To nie był domek kempingowy.

Przewieźli mnie gdzieś — pomyślał z pewnym niepokojem Kopacz. — Co oni. u diabła, chcą ze mną zrobić?

Spojrzał bacznie po obecnych. Było ich czterech. Beznogi siedział za stołem i palił

fajkę. Obok niego bujał się na trzcinowym fotelu jakiś zupełnie łysy mężczyzna, trzymający w przesadnie owłosionym ręku kufel piwa. Ci, którzy zeszli do piwnicy i przyprowadzili więźnia, to Steinberg i młody osiłek o krótko przyszyronych jasnych włosach i tępej twarzy zawodowego boksera.

Towarzysze zwracali się do niego per „Boby” i traktowali go z protekcjonalną wyższością

Steinberg pchnął więźnia na krzesło i paroma energicznymi ruchami zerwał perukę, wąsy i baki.

— Ty udawałeś kelnera w hotelu? Sierżant Kopacz wzruszył ramionami.

— Jeżeli wiesz, to po cholerę się pytasz?

— Nie jesteśmy po imieniu — warknął Steinberg.

Kopacz nie robił wrażenia sterroryzowanego.

— Jeżeli ty mi mówisz po imieniu, to dlaczego niby ja...?

W odpowiedzi Steinberg z całym rozmachem trzasnął go w twarz.

— Polnische Schwein ! To ty zawiozłeś tego złodzieja do komendy milicji.

— Ja.

— Coście zrobili z walizką?

— Czeka w depozycie na właściciela. W każdej chwili można ją odebrać.

— A co się stało z protezą, która była w walizce?

— Proteza także jest do odebrania.

— Dlaczego przyjechałeś pod kino „Moskwa” ucharakteryzowany?

— Taki dostałem rozkaz.

— Skąd wiedziałeś, że ten pan, za którym jechałeś, będzie w kinie?

— Dostałem rozkaz — powtórzył Kopacz.

I znowu silne uderzenie w twarz, tym razem pięścią.

— Mów, skąd wiedzieliście o tym spotkaniu w kinie?

— Nie moja sprawa. Dostałem rozkaz.

— Wstawaj.

Kazio podniósł się z krzesła. Na dany znak młody atleta podszedł do niego i zaczął go bić. Robił to fachowo, z widocznym upodobaniem. Sierżant Kopacz zacisnął zęby i znosił wszystkie te ciosy ze stoickim spokojem. Krew spływała mu obficie z porozbijanych warg, w całym ciele czuł dotkliwy ból.

— Dosyć — powiedział energicznie beznogi. — Dajcie go tutaj.

Posadzili skatowanego przed stołem.

— Obmyj go. Nie znoszę krwi.

Goryl niezbyt skwapliwie spełnił polecenie. Widać było, że chętnie jeszcze by walił. Należał do tego typu ludzi, którzy lubią bić bezbronnych, nie ponosząc żadnego ryzyka.

— Dajcie mu pić.

Sierżant Kopacz wypił chciwie szklanekę wody.

Beznogi uśmiechnął się. Na jego pociągłej, opalonej twarzy pojawił się wyraz życzliwości i współczucia.

— Niech się pan nie upiera, panie Kopacz — powiedział z łagodną perswazją. — To przecież nic nie da. Wydaje mi się, że w obecnej sytuacji może nam pan absolutnie wszystko powiedzieć, nie naruszając tajemnicy służbowej. Chcemy się tylko od pana dowiedzieć kilku szczegółów. No, niech się pan zastanowi, czy jest pan skłonny odpowiedzieć dobrowolnie na moje pytania. Wolałbym nie uciekać się do jakichś drastycznych środków.

Sierżant Kopacz milczał. Zbierał siły, aby przebrnąć przez nowe bicie.

— Właściwie prawie wszystko jest jasne — ciągnął dalej beznogi. — Karty zostały odkryte. Mogę pana zapewnić, że to, co nam pan powie, pozostanie między nami. Liczę więc na...

— Po co tyle gadania — warknął łysy, przysuwając do stołu swój bujający fotel i stawiając kufel, który już od dłuższego czasu był pusty.

— Spokojnie. Krauzer — zmitygował go beznogi. — Spokojnie.

— Nie mamy czasu na te wszystkie ceregiele — wtrącił się Steinberg.

Beznogi utkwiał w mówiącym twarde, nieprzyjemne spojrzenie.

— Ja tu decyduję. — Następnie wrócił do swojego życzliwego uśmiechu i spojrzał na więźnia. — No i cóż...? Sądzę, że pana przekonałem. Naprawdę nie zależy mi na tym, żeby pan stąd wyszedł z połamanymi rękami i nogami.

— Mnie także na tym nie zależy — powiedział sierżant Kopacz, który postanowił jak najbardziej przedłużyć tę „rozmowę” i zyskać przez to na czasie. Nie było tu Wasickiego. Miał nadzieję, że major go zatrzymał i że może będzie próbował po-

handlować nim z tymi bandziorami. To była jedyna szansa odzyskania wolności, a kto wie, czy nawet nie uratowania życia. Niewykluczone, że te oprychy oddadzą go za Wasickiego.

— No Więc właśnie — ucieszył się beznogi, — Życie kaleki nie jest łatwe. Wiem coś na ten temat. Po co się pan ma na takie rzeczy narażać? W imię czego?

— O co wam chodzi? — spytał Kopacz. Beznogi nie przestawał uśmiechać się dobrodusznie.

— Przede wszystkim chcielibyśmy wiedzieć, w jaki sposób zorientowaliście się, że ja mam się spotkać z Wasickim w kinie.

Kazio zawahał się chwilę, ale zdecydował, że może zdradzić tę tajemnicę.

— Wasicki zapisał .to w swoim terminarzu i ja w czasie wycierania wody z podłogi...

— A mówiłem, że kiedyś będziemy mieli przykrości przez tego głupiego pedanta — mruknął Steinberg.

— Co było zapisane w tym terminarzu?

— Nic, tylko „Moskwa godzina 20”, pod datą czwartego lipca.

— A dlaczego przypuszczaliście, że to chodzi o mnie?

— Niczego takiego nie przypuszczaliśmy. Po prostu trzeba było sprawdzić. To wszystko.

— Dlaczego pan jechał za mną?

— Bo pan nie ma jednej nogi.

— Dużo jest ludzi, którzy nie mają jednej nogi;

— To prawda. Ale pan nie ma prawej nogi. a poza tym zobaczyłem pański but. podnosząc z ziemi gazetę.

Beznogi przygryzł dolną wargę, —A mówiłem — powiedział ze złością Steinberg. — Tłumaczyłem.

— Spróbuj kupić w Warszawie buty, które by pasowały na normalnego człowieka — wybuchnął beznogi. — Szukałem.

— Przestańcie się kłócić — wtrącił się Krauzer, sięgając pod stół i wyjmując butelkę piwa. — Mamy chyba co innego do roboty.

Beznogi już opanował wzburzenie.

— Wiec nie wiedzieliście, że ja przyjadę do kina „Moskwa”?

Kopacz potrząsnął głową.

— Nie.

— I nie znacie mojego nazwiska?

— Nie.

— Mówi pan prawdę?

— Nie mam sposobu, żeby pana przekonać, że mówię prawdę.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju ktoś wszedł. Sierżant Kopacz posłyszał kroki i odwrócił głowę. Wasicki. A więc major go nie zatrzymał.

Nowo przybyły skinieniem głowy przywitał się z obecnymi.

— O, kogóż ja tu spotykam — powiedział, spojrzawszy na Kopacza. — Nasz nieoceniony hydraulik. — A zwracając się do beznogiego dodał: — Nie trać

czasu na przesłuchania. Ten chłopak niewiele wie. Zresztą w obecnej sytuacji to wszystko jest bez znaczenia.

— Więc likwidujemy go? — spytał Steinberg, podchodząc do więźnia.

— Do piachu — ucieszył się młody goryl

Beznogi powstrzymał ich ruchem ręki.

— Chwileczkę.

Rozdział VII

Najgenialniejsi wodzowie, politycy, mężowie stanu miewają pechowe okresy w swoich karierach, popełniają błędy, oczywiście nawet dla przeciętnego zjadacza chleba. Wyprawa Napoleona na Moskwę była niewątpliwie nonsensem i z punktu widzenia politycznego, i strategiczno-militarnego. Juliusz Cezar również zupełnie niepotrzebnie poszedł do senatu, mimo iż ostrzegano go, że coś nie gra. Downar przeżywał właśnie taka. złą passę. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wspólnie z Olszewskim popełnili szereg błędów od samego początku tego dziwnego śledztwa. To nie wpływało dodatnio na jego samopoczucie. A teraz znowu tajemnicze zniknięcie sierżanta Kopacza. Rozmowa z szefem pogłębiła jeszcze stan depresyjny.

— No i co z tym chłopakiem? — spytał pułkownik.

— Nie ma go. Nie daje znaku życia. Od tamtego wieczoru...

Leśniewski niecierpliwie strzepnął palcami.

— Słuchaj, Stefan, nie chcę cię martwić, ale wydaje mi się, że zaczynasz w piętękę gonić.

— Niestety i ja odnoszę to samo wrażenie — przytaknął Downar z melancholijnym uśmiechem.

— Może jesteś przemęczony?

— Niedawno wróciłem z urlopu.

— Może za krótko wypoczywałeś? Downar machnął ręką zrezygowany.

. — Daj spokój. Wreszcie każdy kiedyś się kończy. Dostyc się już naharowałem. Czas na emeryturę.

— Nie gadaj głupstw — zachnął się Leśniewski — Chłop zdrowy, silny, pełen energii i na emeryturę?

— Sam przecież powiedziałeś, że „w piętękę gonię”.

— Tak to się tylko mówi — zaczął wycofywać się Leśniewski — Wiesz chyba, że tak nie myślę.

— Wystarczy, że ja tak myślę — mruknął Downar. — Cholernie się niepokoję o tego chłopaka. Boję się, żeby go nie wykończyli

— Nie trzeba go było samego puszczać za tym oprychem.

— Ba! Mądry Polak po szkodzie. Pewnie, że nie trzeba go było puszczać. Ale kto mógł przewidzieć taką historię. Chłopak bystry, silny, wysportowany, dobry bokser, miał przy sobie pistolet. Do głowy mi nie przyszło, że będzie potrzebo-

wał obstawy. Pakuła chciał z nim jechać, a ja mu kazałem pilnować willi Wasickiego.

— A co z Wasickim?

— Nic. Wrócił spokojnie do domu. Pilotowałem go od samej „Moskwy”.

— Spotkał się z kimś?

— Tak, z tym beznogim, ale tamten wcześniej wyszedł z kina. Ja wiedziałem, że Kopacz za nim pojedzie. Zostałem, żeby przypilnować Wasickiego.

— Paskudna sprawa — powiedział Leśniewski — Mamy do czynienia z ludźmi, którzy nie przebierają w środkach. Nie wydaje mi się jednak, żeby zlikwidowali Kopacza. Raczej będą go chcieli zatrzymać jako zakładnika. Nie wiemy w tej chwili, ilu ich jest na naszym terenie, ale w każdym razie będą się chcieli stąd wydostać, a mając zakładnika mogą stawiać warunki. Przypuszczają, i słusznie, że nie zechcemy poświęcić naszego człowieka.

— Myślę, że masz rację — przytaknął Downar. — Jeżeli twoje rozumowanie jest prawidłowe i jeżeli Kazio Kopacz znajduje się w ich rękach, to lada chwila powinniśmy się spodziewać jakichś wiadomości

Downar wrócił do siebie i pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co dalej przedsięwziąć.

Rozległo się pukanie do drzwi Nikt jeszcze nic widział sierżanta Pakuły w tak posępnym nastroju.

— Co się stało? — spytał zaniepokojony Downar.

— Spłynął.

— Kto?

— Wasicki

— Jak to spłynął?

— No, zwyczajnie. Wyparował. Nie ma go.

— Przecież pilnowaliście go! We trzech!

— I co z tego. Pilnowaliśmy, a facet zniknął. Ulotnił się. W jaki sposób, nie mam pojęcia.

— A jego żona?

— Także jej nie ma. Nikt nie otwiera. Puste mieszkanie.

— A wóz?

— Wozem nie wyjechali Przez furtkę także nie wyszli Za to ręczę.

— Więc co? — zdenerwował się Downar. — Wyfrunęli czy jak?

— Diabli ich wiedzą.

— Chwileczkę.— Downar zamyślił się.

-- Może ich kto kropnął.

Sierżant skrzywił się.

— Eeee. Kto by ich miał kropnąć? Wątpię.

— Trzeba to jednak sprawdzić. Zaraz porozumiem się z prokuratorem. Musimy dostać się do tego mieszkania.

Willa Wasickich była pusta, ani żywego ducha. Zarówno Pakuła, jak i dwaj milicjanci, którzy mu pomagali, twierdzili, że pilnowali jej dzień i noc i że nikt z tego domu ani nie wyszedł, ani nie wyjechał. Downar mógł podawać w wątpliwość słowa młodych chłopaków, którzy zapewne mieli dobry, zdrowy sen, ale do sierżanta Pakuły miał całkowite zaufanie i wiedział, że można było na nim polegać.

Zabrali się do przeszukiwania willi. Nie natrafili jednak na nic godnego uwagi poza brązowym butem z lewej nogi, o którym już wspominał Pakuła. Downar w kieszeni jednej z marynarek Wasickiego znalazł dziwny znaczek. Metalowy sześciokąt koloru ciemnoczerwonego, a na nim czarne litery WR. Nic miał pojęcia, co to takiego.

Kiedy już uporali się z całym mieszkaniem, zeszli do piwnicy. I tutaj dopiero wyjaśniła się zagadka tajemniczego zniknięcia obojga Wasickich. Drewniane drzwi, obite grubą blachą, prowadziły do podziemnego korytarza, którym można się było wydostać na teren pobliskiej, nie zabudowanej jeszcze posesji, gęsto porośniętej drzewami i krzakami.

— Tedy zwiali — powiedział Downar.

— Ma się rozumieć — przytaknął Pakuła. — Tutaj nie mogliśmy ich upilnować, obywatelu majorze.

— Rzeczywiście trudno to było przewidzieć. Nie wasza wina.

Wrócili do komendy i Downar zabrał się już po raz setny do dokładnego studiowania akt sprawy. Wiedział z doświadczenia, że w takim nawale materiału łatwo można przeoczyć jakiś istotny szczegół. Tak był pogrążony w pracy, że nie od razu zauważył wejście Stasiaka.

— Cześć, Jasiu. Siadaj. Co nowego? Stasiak nie odpowiedział na powitanie, usiadł, odsapnął, napił się wody i zaczął kłąć. Trwało to czas dłuższy.

Downar z całkowitym spokojem wysłuchał kwiecistych wiązanek, a kiedy as kontrwywiadu zrobił małą przerwę dla nabrania tchu, powiedział:

— Zdaje się, Jasiu, że coś nie gra?

— Nie gra?! — wybuchnął Stasiak. — W ogóle skandal. Wyobraź sobie, że ten sukinsyn prysnął.

— O kim tak się niechętnie wyrażasz?

— Jak to o kim? O Krauzerze oczywiście. Nie ma go już w Ciechocinku.

— I nie wrócił na wybrzeże do pracy

— Nie.

— Przecież pilnowali go twoi ludzie.

— Dwóch go pilnowało. Uciekł, cholera jasna.

Downar parsknął śmiechem.

— Czego się śmiejesz? To nic zabawnego.

— Śmieję się — powiedział Downar poważniejąc — ponieważ ja mam taką samą historię. Wasicki mi zwał razem z żoną. Pilnowało ich trzech.

— Nie opowiadaj!

— Słowo ci daję. Zdębiałem. Specjalnie posadziłem tam Pakułę, który jest cwaniakiem kutym na cztery nogi, doskonałym, doświadczonym fachowcem. Dałem mu do pomocy dwóch młodych chłopaków. A Wasiccy zniknęli. Z piwnicy mieli przekopane przejście. Widocznie musieli się liczyć z taką ewentualnością.

— A Kopacz? — spytał Stasiak. — Przecież, o ile mi wiadomo, on także był w Podkowie.

Downar zasepił się i opowiedział o historii z sierżantem Kopaczem.

— Bardzo się o niego niepokoję, bardzo. Stasiak zapalił papierosa, wstał i zaczął chodzić po pokoju, który efektownie wypełniał swoją potężną postacią.

— Pechowa sprawa, psiakrew, pechowa sprawa. Miejmy nadzieję, że go nie kropnęli.

Downar rozłożył ręce.

— Któż to wie. Leśniewski twierdzi, że go zatrzymają żywego, jako zakładnika, ale jeżeli na przykład doszłoby do wymiany strzałów... W takich wypadkach nigdy nie wiadomo,

— Jakie masz plany?

— A jakież ja mogę mieć plany? Zaalarmowałem wszystkie komendy i wszystkie posterunki na terenie całego kraju i czekam, co będzie dalej. Chyba że ty mi coś genialnego zaproponujesz.

Porucznik Olszewski był szczerze zafrasowany depresyjnym nastrojem Downara

— Nie martw się, Stefan, jakoś to przecież będzie. Nie takie już twarde orzechy rozgryzaliśmy.

— Zęby mieliśmy młodsze — mruknął Downar. — Nie ma co się czarować.

Zawaliliśmy robotę jak nowicjusze.

Olszewski potrząsnął głową.

— Nie przesadzaj. Każdemu może coś nie wyjść. Raz na wozie, raz pod wozem. Tak jak to w życiu bywa. Chciałbym ci coś zaproponować...

— Proponuj.

— Miałbym wielką ochotę zajrzeć do mieszkania państwa Wasickich. Co ty na to?

Downar wzruszył ramionami.

— Zaglądam, jak ci to sprawia przyjemność. My z Pakułą już przeszukaliśmy całą willę bardzo dokładnie.

— Nie szkodzi. Ja nie muszę dokładnie... Tylko rzucę okiem.

I tak porucznik Olszewski pojechał do Leśnej Podkowy w towarzystwie sierżanta Pakuły. Zajrzał do jednej szafy, do drugiej, do trzeciej, pokręcił się, pomyszkował i wrócił.

— Już z powrotem? — zdziwił się Downar. — Raczej pobieżne przeszukanie.

— Raczej tak. Co było interesującego do znalezienia, ty już znalazłeś. Ja tylko tak sobie...

— No i...

— No i mam pewną propozycję, Jak byś się zapatrywał na to, żebym dwie, a może trzy noce spędził w willi państwa Wasickich?

Downar spojrzał zdziwiony.

— Nie masz gdzie spać?

— Mam gdzie spać. Nawet niedawno kupiłem sobie nowy tapczan. Ale...

widzisz... Chciałbym się spotkać z panią Wasicką.

— Myślisz, że...? Olszewski skinął głową.

— Właśnie tak myślę. Słuchaj, Stefan, czyś ty widział te ciuchy u Wasickich?

— Oczywiście, widziałem.

— Tyś nieżonaty — ciągnął dalej Olszewski, zapalając papierosa. — I może mniej zwracasz uwagę na te rzeczy. Ale ja się coś niecoś orientuję. Jestem żonaty.

I mogę cię zapewnić, że nie ma na świecie babki, która z lekkim sercem rozstałaby się z takimi ciuchami: włoskie sweterki, włoskie pantofelki, francuskie sukienki od „Diora”, piękne angielskie płaszcze, francuska i włoska luksusowa bielizna, francuskie perfumy, piękny bułgarski kożuszek, no i wreszcie trochę naszego eksportowego towaru spod lady. Ty wierzysz, że ona z tego wszystkiego zrezygnowała? Szkoda gadać. Wasicki musiał wpaść w panikę, nie pozwolił jej nic zabrać i uciekł. Ale jeżeli nie prysneli za granicę, w co wątpię, to ta mała kobietka wróci, żeby spakować walizki.

Downar z dużym zainteresowaniem słuchał słów porucznika.

— Ty wcale nie jesteś taki naiwny, — powiedział.

— No widzisz, jak to czasem pozory mylą — ucieszył się Olszewski. — Więc zgadzasz się?

— Jak ty sobie to właściwie wyobrażasz?

— Zwyczajnie. Zaopatrzę się w suchy prowiant, w termosy z herbatą i zakwateruję się dyskretnie w willi Wasickich. Ty jeszcze dodatkowo, ostentacyjnie opieczętujesz mieszkanie i furtkę, popryczepiasz kartki z różnymi groźnymi napisami — i w porządku.

— Nie będziesz mógł palić światła — zauważył Downar.

— Oczywiście, że nie. Zrezygnuję z lektury. Dokszałcę się innym razem. Zdaje się, że mamy pełnię księżyca, więc jakoś sobie poradzę.

— Obawiam się, że jesteś marzycielem — uśmiechnął się Downar. — Ale zgoda. Realizuj swój plan. Ostatecznie niczym nie ryzykujemy.

Księżyc rzeczywiście był w pełni. Chłodne Światło szerokim strumieniem wpływało przez okna, stwarzając tajemniczą, romantyczną atmosferę.

Porucznik Olszewski zorganizował sobie życie w ten sposób, że spał w ciągu dnia, w nocy zaś czuwał. Wychodził bowiem ze słusznego założenia, że jeżeli w ogóle pani Wasicka wróci po swoją garderobę, to dokona tego nocną porą. Takie czuwanie jest rzeczą raczej monotonną, bo to ani poczytać, ani radia posłuchać, ani na telewizję popatrzeć. Pozostają wyłącznie rozważania filozoficzne, ale jak długo można się zastanawiać nad marnościami tego świata oraz nad istotą bytu, jeżeli ktoś nie posiada umysłu Sokratesa czy też Heraklita. Olszewski zaś był człowiekiem czynu i nigdy nie zdradzał skłonności do nastrojów kontemplacyjnych. Tym bardziej to odosobnienie w świetle księżyca dawało mu się we znaki. Nie palił nawet papierosów, żeby ktoś z zewnątrz nie spostrzegł jarzącego się tytoniu. Okna nie były zasłonięte i nie należało zmieniać tego stanu rzeczy.

Pierwsza noc minęła zupełnie spokojnie. To zresztą jest całkowicie obiektywne stwierdzenie, ponieważ Olszewskiemu te długie godziny wcale nie upłynęły spokojnie. Ciągłe nasłuchiwał i nieustannie wydawało mu się, że ktoś chodzi po domu, skrada się, otwiera ostrożnie drzwi. Kilkakrotnie podrywał się z tapczanu z pistoletem w ręku.

Dopiero jednak na drugą noc coś się zaczęło dziać konkretnego.

Było około pierwszej. Chyba się chwileczkę zdrzemnął, siedząc w wygodnym, głębokim fotelu. Zbudziło go skrzypnięcie podłogi w sąsiednim pokoju. Zerwał się, błyskawicznie podbiegł do szafy i do podróżnej torby zaczął ładować rozmaite rzeczy.

Weszła ostrożnie i stanęła jak wryta. W świetle księżyca ciemna sylwetka pochylonego mężczyzny rysowała się zupełnie wyraźnie.

— Ach...!

— Niech pani nie krzyczy — powiedział rozkazującym tonem,

— Co pan tu robi?

— Przecież pani widzi. Kradnę.

— To pan jest złodziejem?

— Tak. Jestem dżentelmenem włamywaczem.

— Kimś w rodzaju Arsena Lupina?

— Powiedzmy. A pani z tej samej branży?

— Nie. Ja jestem właścicielką tej willi.

— W takim razie wpadłem. Zapewne zaraz wezwie pani milicję.

— Nie wezwę milicji. I nawet nie zapalę światła.

— To bardzo miło z pani strony. Obawiałem się, że narobi pani krzyku. Zachowuje się pani dosyć niebanalnie.

— Nie lubię alarmować ludzi po nocy.

— Bardzo słusznie. Każdy powinien wypocząć.

— Jak pan się tu dostał?

— Przez okno.

— Żadna szyba nie jest stłuczona.

— Och, proszę pani — obruszył się Olszewski. — Ja nie jestem takim prostakiem, żeby wybijać okna czy wylamywać zamki u drzwi. Pracuję precyzyjnie. Szybę wyjmuję, później wstawiam. Jeżeli nakruszę, to zawsze posprzątam, zamiotę. Noszę w kieszeni taką małą miotełkę.

— Nigdy nie przypuszczałam, że istnieją tacy porządni włamywacze.

— Bo dotychczas nie miała pani okazji spotkać się ze mną.

— To prawda... ale...

— Co ale ?

— Powiem zupełnie szczerze. Trochę się pana boję.

— Mnie? Boi się pani? Dlaczego?

— Żeby mi pan nie wyrządził jakiejś krzywdy, bo chociaż z naszej dotychczasowej rozmowy wnioskuję, że pan jest człowiekiem inteligentnym...

— Posiadam wyższe wykształcenie, jeżeli panią to interesuje. A co się tyczy wyrządzenia jakiejś krzywdy, to mogę panią zapewnić, że o tym nie ma mowy. Ustaliliśmy przecież, że jestem dżentelmenem włamywaczem. Noblesse oblige. Odetchnęła z widoczną ulgą.

— Trochę mnie pan uspokoił. Ale co dalej? Bo widzi pan, ja się bardzo spieszę. Chciałabym jak najprędzej się spakować, tylko... tylko odnoszę wrażenie, że pan już zaczął wkładać rzeczy do torby. Olszewski skłonił się szarmancko.

— Panie mają pierwszeństwo. Proszę, niech pani zabiera, na co tylko ma pani ochotę. Ja zaczekam. Powiem więcej. W ogóle zrezygnuję z tej roboty.

— Och, to chyba nie byłoby słuszne. Stracił pan tyle czasu. Pańska fatyga powinna być jakoś wynagrodzona.

— Największą nagrodą jest dla mnie rozmowa z tak uroczą osobą, jak pani.

— Pan jest bardzo miły.

— A pani prześliczna. W blasku księżycy robi pani wrażenie jakiejś czarodziej-skiej zjawy. Czy nie sądzi pani, że dobrze byłoby wypić za nasze nocne spotkanie? Widziałem w barku kilka bardzo interesujących butelek.

Roześmiała się.

— Trzeba przyznać, że pan jest beczelny.

— Przed chwilą pani powiedziała, że jestem „bardzo miły”.

— Jedno drugiego nie wyklucza.

— Więc jak będzie z naszym toastem? Zawahała się.

— Lubię tylko bardzo dobre cocktaile.

— O, to się znakomicie składa — ucieszył się Olszewski. — Bo ja właśnie jestem mistrzem od cocktaili. — Pośpiesznie wyjął z barku kilka butelek i zaczął przyrządzać napój w mikserze, następnie sięgnął do lodówki po lód. — Mam nadzieję, że będzie pani smakować.

— Jak się nazywa ten cocktail?

— Księżycowy. Wybrałem coś odpowiedniego do nastroju.

Olszewski pił bardzo ostrożnie, pani Wasicka natomiast, po pierwszym kieliszku przyjętym z pewnym wahaniem, gasiła pragnienie w sposób dosyć beztrouski.

Rezultat takiego postępowania nie dał na siebie długo czekać.

— Mam ochotę potańczyć — oznajmiła w pewnej chwili. — Nastawię adapter. Mam bombowe płyty stereo.

— Lepiej nie — zaprotestował Olszewski. — Milicja.

— Gwiżdżę na milicję! Chcę tańczyć!

Nie pozwolił jej jednak nastawić adaptera. Nadąsała się.

— Jesteś strasznie despotyczny — powiedziała przechodząc nagle na „ty”. — Jeżeli nie możemy mieć porządnej muzyki, to będę ci cichutko śpiewała do ucha. Chcę tańczyć — upierała się. — Zaczekaj chwileczkę. — Pobiegła do bielizniarki i wyjęła z niej niewielką butelkę.

— Czego pani tam szuka? — spytał niespokojnie Olszewski, w którym od razu obudziła się zawodowa czujność.

— Muszę się troszkę odświeżyć. Mam nadzieję, że ty nie masz uczulenia na konwalie.

— Uczulenia?

— No, tak. Wyobraź sobie, co za tragedia. Mój ulubiony zapach to konwalia, a nigdy nie mogę używać tych perfum, bo mój mąż jest straszliwie na nie uczulony. Zdaje się, że to się nazywa alergią. Jak tylko poczuje konwalie, zaczyna się dusić. Wygląda wtedy strasznie. Kiedyś poszliśmy do znajomych. Na stoliku stał duży bukiet konwalii. Mąż zemdłał. Musieliśmy wzywać pogotowie. Cieszę się, że ty nie masz takiego uczulenia. No, chodź tańczyć.

Tańczyli w takt melodii, którą nuciła pani Wasicka. Olszewski coraz bardziej poddawał się urokowi księżycowej nocy oraz pachnącej konwaliami młodej kobiety.

To dla dobra śledztwa — powtarzał w duchu. — To dla dobra śledztwa.

Jego tancerka wykazywała bardzo dużo życzliwości, a on nabierał coraz większej chęci na „służbowe pieszczoty”.

Słowa pułkownika Leśniewskiego sprawdziły się. Pewnego słonecznego poranka zadzwonił telefon.

— Czy pan major Downar?

— Przy aparacie. A kto mówi?

— Moje nazwisko nic panu nie powie. Dzwonię w sprawie sierżanta Kopacza.

— Słucham? — Downar uczynił spory wysiłek, żeby jego głos brzmiał obojętnie.

— Przede wszystkim niech pan nie usiłuje sprawdzać, skąd telefonuję. To nic nie da.

— Nie mam zamiaru tego robić — powiedział Downar.

— Świetnie. Jest pan rozsądnym człowiekiem. Będę się streszczał. Sierżant Kazimierz Kopacz znajduje się w naszych rękach i jego życie zależy od pana i od pańskich władz, panie majorze.

— Jakie stawiacie warunki?

— Dacie nam samolot z pilotem. Chcemy się dostać na Sycylię.

— Kiedy uwolnicie sierżanta Kopacza?

— Na Sycylii, oczywiście. Nie wyobraża pan sobie chyba, że odlecimy bez niego.. Wasze myśliwce mogłyby nam sprawić pewien kłopot.

— Rozumowanie logiczne — przyznał Downar.— Muszę skomunikować się z moim szefem. Czy może pan chwilę poczekać przy aparacie?

— Mogę. Ale proszę się śpieszyć. Mam mało czasu.

Downar wsunął słuchawkę do szuflady i z drugiego aparatu połączył się z pułkownikiem. W paru słowach uzgodnili plan działania. Następnie wyjął z szuflady słuchawkę.

— Halo...

— Jestem, jestem. Słucham, panie majorze.

— Akceptujemy wasze warunki.

— Bardzo mnie cieszy, że dogadaliśmy się. Sierżant Kopacz jest człowiekiem sympatycznym. Polubiłem go nawet. Wolałbym nie napychać mu ołowiu do głowy.

— Jaką mamy gwarancję, że go wypuścicie żywego? — spytał Downar.

— Gentleman agreement. Musimy sobie ufać. Zresztą nie zależy nam przecież na śmierci tego człowieka. Jesteśmy nawet skłonni kupić mu bilet powrotny na samolot.

— Zgoda. Kiedy?

— Jutro zadzwonię do pana. Ustalimy szczegóły.

Połączenie zostało przerwane, Downar wolno odłożył słuchawkę, wstał i poszedł do szefa.

Pułkownik Leśniewski był zdenerwowany.

— Wypuścimy tych ludzi, a nie mamy żadnej pewności, że uratujemy Kopacza!

— Nie mamy pewności — przyznał Downar.

— Trzeba coś wykombinować. Nic ci do głowy nie przychodzi?

— Może i przychodzi. Ciągłe myślę o konwaliach.

— 0 konwaliach? — zdumiał się Leśniewski.

Rozdział VIII

Siedzenie w piwnicy bez okna nawet największego optymistę może po pewnym czasie pozbawić pogody ducha. Sierżant Kopacz zaczynał właśnie wkraczać w fazę minorowych nastrojów. Natrętnego szczura udało mu się wprawdzie zabić, ale to tylko na bardzo krótko poprawiło jego samopoczucie. Był człowiekiem czynu, a tu o żadnym czynie nie mogło być mowy. Bo co może zdziałać człowiek, choćby obdarzony przez naturę sprytem i inteligencją, uwięziony w piwnicy, do której prowadzą ciężkie, okute drzwi solidnie zaryglowane?

Albo strzelą mi w łeb, albo nie — rozmyślał filozoficznie sierżant Kopacz, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że nie są to konstruktywne rozważania.

— Gdyby mnie mieli kropnąć, toby to już dawno zrobili — próbował się pocieszać.

W ciasnym pomieszczeniu było ciemno, duszno i wilgotno. Na domiar złego wyżywienie także okazało się nader skromne, nie pozwalające zaspokoić nawet pierwszego głodu. Wszystko to razem przedstawiało się bardzo niewesoło i nie rokowało niczego dobrego na przyszłość.

Kopacz domyślał się, że jego prześladowcy trzymają go jako zakładnika i że w pewnym momencie zaczną się targować z komendą o jego życie, pragnąc wydostać się z Polski. Nie bardzo sobie jednak wyobrażał, jak taka ewentualna transakcja zostanie zrealizowana i czy w ostatnim momencie nie zechcą go zlikwidować. Brał pod uwagę dwie możliwości: samolot albo jacht. W tej sytuacji tylko takie środki lokomocji mogły, jego zdaniem, wchodzić w rachubę. Nie wątpił, że zarówno pułkownik Leśniewski, jak i major Downar zrobią wszystko, żeby go ratować, ale nie miał pewności, czy ich wysiłki nie pójdą na marne i to go przygnębiało. W ostatnim momencie mógł przecież któryś z tych bandziorów posłać mu pożegnalną kulę. Tego nikt nie potrafi przewidzieć. Najgorsze jest oczekiwanie na coś, co stać się musi, co się stanie niebawem, za godzinę, za dwie, za dzień. Kopacz stracił poczucie czasu. Nie miał zegarka, nie miał zapalek. Nie wiedział, czy to noc, czy dzień. Pragnął, żeby wreszcie to już się skończyło, wszystko jedno jak.

Zgrzytnęły otwierane drzwi. Tak jak wtedy, weszło dwóch. Mieli latarkę i byli uzbrojeni. Związali mu ręce na plecach solidnym rzemieniem i wyprowadzili z piwnicy. Jeden z nich pchnął go energicznie.

— Szybciej! Ruszaj się! — Poznał głos Steinberga.

Po chwili odetchnął głęboko chłodnym, świeżym powietrzem. Noc była ciemna, bezgwiezdna. Mocny powiew wiatru kołysał drzewami.

Gdzie ja jestem? — myślał Kopacz, rozglądając się dokoła i nadaremnie usiłując zorientować się w terenie. — Dokąd mnie oni prowadzą? — I nagle poczuł na języku coś jakby smak soli. — Morze — przemknęło mu przez myśl. — Więc jednak zdecydowali się na jacht.

Wepchnęli go do samochodu. Siedział między Steinbergiem a tym młodym osiłkiem, który go wtedy bił. Obaj byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Przy kierownicy tkwił jakiś barczysty drab w kapeluszu nasuniętym na oczy, przy nim Wasicki.

— Czy jedziemy na wojnę? — spytał Kopacz.

— Zamknij się! — warknął blondyn.

Nie było sensu próbować czegoś się dowiedzieć. Kopacz zrezygnował z nawiązania rozmowy.

Dłuższy czas jechali leśną, piaszczystą drogą. Mocna maszyna radziła sobie doskonale z trudnym terenem. Wreszcie wydostali się na wąską, boczną szosę i zwiększyli szybkość.

Nagle za nimi pojawiły się światła. Kopacz poczuł, że serce zaczyna mu mocniej pracować.

A może to milicja? Może ich zaraz dognają?

To nie był milicyjny wóz. „Opiekunowie” sierżanta Kopacza nie wykazywali najmniejszych oznak zdenerwowania i nie usiłowali uciekać.

Żebym miał wolne ręce... żebym miał wolne ręce... — medytował żałośnie Kopacz. Ale o zerwaniu rzemienia nie było mowy. Solidnie wrzynał się w ciało, był fachowo zawiązany.

Znowu wjechali w las, by po chwili wydostać się na rozległą łąkę. Ciemny kształt samolotu rysował się wyraźną sylwetką na tle nieba.

Zatrzymali się. Młody atleta brutalnie wypchnął więźnia z wozu.

— Wsiadaj!

Sierżant Kopacz poczuł pod nogami niską, Świeżo skoszoną trawę. W twarz uderzył go mocny powiew wiatru. Rozejrzał się.

Było ich sześciu. Mieli automaty. Steinberg i blondyn wzięli go pod ręce i poprowadzili w kierunku maszyny.

Zabiorą mnie ze sobą czy zostawią? — denerwował się Kopacz. — A może strzelą mi w łeb w samolocie?

Zabrali go. Pilot w wojskowym kombinezonie powiedział coś po niemiecku i natychmiast uruchomił silnik. Lekka maszyna szybko oderwała się od ziemi.

Łąka, drzewa, krzaki — wszystko oddalało się błyskawicznym tempie, ustępując miejsca chmurom.

Cóż ten pilot może zrobić, nawet jeśli jest nasz? — medytował smętnie sierżant Kopacz. — Sześciu uzbrojonych po zęby drabów. Żadnych szans. Żebym to chociaż ja nie miał związanych rąk.

Samolot nabierał wysokości. Pod nimi były Już tylko chmury. Na granatowym niebie błyszcząły gwiazdy.

W pewnym momencie samolot wypełnił się intensywnym zapachem konwalii, a zaraz potem Wasicki zaczął rzeźić. Wyglądał strasznie, twarz sina, oczy wybałuszone,

otwarte usta z trudem chwytają powietrze.

— Duszę się! Ratunku! Duszę się! Wszyscy rzucili się na pomoc. Powstało zamieszanie.

I wtedy zaszło coś dziwnego. Sierżant Kopacz poczuł ogarniający go zupełny bezwład, jak przez mgłę zobaczył, że pilot naciąga maskę przeciwgazową i stracił przytomność.

— To było jednak bardzo śmiałe przedsięwzięcie — powiedział Leśniewski Downar skinął głową.

— Tak. Ale musieliśmy zaryzykować. Nie mieliśmy właściwie innego wyjścia.

— Skąd, u diabła, wiedziałeś, że ten facet jest tak silnie uczulony na zapach konwalii? — wtrącił się do rozmowy Stasiak.

— To wyłączna zasługa Staszka Olszewskiego. Okazuje się, że znajomość duszy kobiecej jest niezmiernie cenną rzeczą w naszej pracy. Podczas owej historycznej księżycowej nocy, po kilku wzmocnionych cocktailach pani Wasicka

wspomniała o tej alergii swojego męża, ubolewając, że nie może używać ulubionych perfum o zapachu konwalii. To nam umożliwiło przeprowadzenie akcji.

— Bez tego trudno byłoby ryzykować — przytaknął Stasiak. — Przy uruchamianiu pojemnika z gazem obezwładniającym...

— Oczywiście. W momencie kiedy tamci zajęci byli ratowaniem Wasickiego, pilot miał możliwość naciągnąć maskę przeciwgazową, nie zwracając niczyjej uwagi. Gdyby nie to, Steinberg, który siedział za pilotem, mógł w ostatnim odruchu nacisnąć spust.

— Tego się najbardziej bałem — powiedział Leśniewski. — Ale na szczęście wszystko poszło gładko. A może taki pojemnik z gazem oszałamiającym, uruchamiany specjalnie skonstruowanym pedałem, dałoby się zastosować jako broń przeciwko porywaczom na liniach pasażerskich?

— To trochę skomplikowane — uśmiechnął się Stasiak. — Trzeba by wiedzieć, kto jest uczulony na jakie zapachy. Trudno przeprowadzać ankiety wśród pasażerów.

Rozpylanie konwaliowych perfum nie zawsze może być skuteczne.

Roześmieli się. Leśniewski spojrzął na Downara.

— No, Stefanku, czeka cię teraz ciężka praca. Musisz przesłuchać tych ludzi,

— Mam właśnie ten zamiar.

Steinberg okazał się człowiekiem bardzo spokojnym i opanowanym. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że przegrał i że nie może liczyć na żadne okoliczności łagodzące. Znalaziono przy nim pistolet, z którego zastrzelony został Romek oraz Emma von Schellendorf, a oprócz tego dość lekkomyślnie pozostawił odciski palców na wozie swej ofiary. Nie miał zamiaru tracić czasu na zbędne wykryty i wyjątkowo szczerze rozmawiał z Downarem.

Po przesłuchaniu Downar natychmiast zameldował się u szefa. Pojawił się także Stasiak, który bardzo interesował się wszystkimi szczegółami tej sprawy.

— Podobno Stefan ma dla nas jakieś sensacje — zagał Leśniewski.

Downar skinął głową.

— Jeżeli jesteście ciekawi, mogę wam opowiedzieć istotnie niezwykłą historyjkę. No więc tak... Ten beznogi facet, czyli Hans Glostetz, były gestapowiec, który podczas okupacji urzędował u nas na terenie Bydgoszczy i który doskonale mówi po polsku, przyjechał do Polski jako turysta, przywożąc w protezie listę głównych członków międzynarodowej organizacji terrorystycznej.

— „Weltrettern"... „Zbawcy Świata" — wtrącił Stasiak.

— Właśnie. Znalazłem ich znaczek u Wasickich, Nie miałem pojęcia, co to jest.

— Ja mam w aktach taki sam — uśmiechnął się Stasiak. — Dostałem z Wiednia.

— Nie odbiegajmy od tematu — przerwał im Leśniewski. — Mów, Stefan.

— Ostatnio coś tam u nich nie grało — ciągnął dalej Downar. — Musiała być jakaś poważniejsza wpadka i postanowili zreorganizować całą siatkę. Glostetz przywiózł nowe adresy i miał za zadanie porozumieć się z Wasickim, z

Krauzerem, może jeszcze z kimś. W drodze zorientował się, że jest śledzony, nie wiedział jednak przez kogo. Deptała mu po piętach agentka niemieckiego kontrwywiadu, występująca pod historycznym nazwiskiem Vauban. W pewnym momencie popsowała się facetowi proteza, którą musiał zapakować do walizki.

Walizkę zostawił w przechowalni na dworcu.

— Miał metę w willi Wasickich — wtrącił Stasiak.

— Tak. I tam też zaprosił na kolację poznaną, jak sądził, przypadkowo, piękną kobietę, która wykradła mu kwit na walizkę. Porozumiał się ze Steinbergiem w tej sprawie i sam pojechał na Wybrzeże, żeby skontaktować się z Krauzerem. Korzystając z jego nieobecności pani Vauban w poszukiwaniu wiadomej listy przeprowadziła dokładną rewizję w willi Wasickich. Oderwała nawet podeszwy od butów Glostetza i żeby nie pozostawić po sobie śladów zaniósła te buty do szewca, do starego Kopacza. Parę minut przed przyjściem Steinberga odniosła zreperowane buty do willi Wasickich i zdążyła zniknąć. Natomiast chłopak od szewca natknął się na Steinberga. Ten, sądząc, że ma do czynienia z agentem, który udaje półgłówka, zastrzelił nieszczęśnika, w nocy załadował ciało do wozu i wywiózł nad Wisłę. Następnie Steinberg zorientował się, że pani Vauban jest agentką niemieckiego kontrwywiadu i że to ona właśnie ukradła walizkę Glostetza. Doszedł do porozumienia ze złodziejem hotelowym i... Dalszy ciąg już znacie. Leśniewski pokiwał głową.

— W ten sposób wyjaśniła się tajemnica dwóch lewych nóg.

— Facet rzadko używał protezy i dlatego miał dodatkowe buty z lewej nogi — dorzucił Stasiak, — Już to tłumaczyłem Stefanowi. Ale... ale... jak to nazywa się ten napitek, którym Olszewski poczęstował panią Wasicką?

— Księżycowy cocktail — uśmiechnął się Downar. — Mocna rzecz.

Autor:	<u>Zygmunt Zeydler-Zborowski</u>
Tytuł:	<i>Dwie lewe nogi</i>
Wydawnictwo:	Iskry
Seria:	Ewa wzywa 07 Zeszyt nr 90
Rok wydania:	1976
Nakład:	100000